**Nr. 22.** Lwów, Niedziela dnia 27. Stycznia 1878 r. **Tom VI.**




**ROK V.**

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 4• cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
**KSIĘGARNIA POLSKA.**
**l. 14 plac halicki.**

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

## SZKOŁA DUBLAŃSKA.

Rok ubiegły i bieżący będą zapisane jako bardzo ważne w rozwoju szkół wyższych w Polsce. Naprzód Akademia techniczna została podniesioną do rzędu najwyższych zakładów naukowych w państwie austryackiem, a potem szkoła wyższa rolnicza przeszła z Nowym Rokiem pod zarząd Wydziału krajowego i stała się instytucyą w pełnem znaczeniu tego słowa krajową.

Szkoła ta stoi obecnie u progu reformy, przez który gdy przestąpi, pokaże się nam w formie nowej i ostatecznej. Jest to chwila stanowcza reorganizacyi, od której zależeć będzie cała przyszłość szkoły, jej rozwój i pożytek dla kraju. Jesteśmy przekonani, że reprezentacya kraju, zupełnie świadoma wielkiej doniosłości tego faktu, da nowej szkole odpowiednią organizacyą, jednak zanim praca ostatecznie załatwioną zostanie, pozwolimy sobie zrobić kilka uwag objaśniających, które powinny zainteresować nasz ogół, przeważnie rolniczy.

Szkoła nowa ma być najwyższym zakładem w kraju, więc celem jej wydawanie rolników, którzyby w najwyższem tego słowa znaczeniu odpowiadali swemu zawodowi, posiadali najwyższe wykształcenie rolnicze. Celem jej wydawać nie podrzędne stanowiska zajmujących rolników, lecz światłych i w swym zawodzie przygotowanych właścicieli majątków, dzierżawców i rządców większych posiadłości. Ludzie do tej kategoryi należący mają do spełnienia w życiu oprócz zwykłego i im głównie przypadającego obowiązku reprezentowania kraju, obowiązek producenta i przemysłowca na większą skalę. Do spełnienia tej ostatniej funkcyi potrzebnem im jest gruntowne poznanie wszystkich gałęzi fachowej wiedzy, a do sprostania pierwszemu obowiązkowi, wiele, o ile można najwięcej, wykształcenia ogólnego. Pamiętać bowiem należy, że od wykształcenia tej warstwy, zajmującej najważniejsze w naszem społeczeństwie stanowisko, przyszłość kraju i jego postęp zależy.

Szkoła nowa skoro ma być najwyższym zakładem rolniczym w kraju, musi dać swym elewom odpowiednie powyższym postulatom przygotowanie. Nie zwykłych robotników wiejskich, ekonomów, pisarzy prowentowych itp. ma ta szkoła dostarczać; zadanie to należyć winno do szkół średnich z kierunkiem przeważnie praktycznym, i kraj winien zająć się koniecznie urządzeniem takich zakładów, których u nas nie ma prawie wcale, i w ogóle wglądnąć w tym kierunku aż do szkół najniższych.

Nowa szkoła musi być według naszego zdania tak urządzoną, żeby dawała młodym ludziom wykształcenie obok fachowego, o ile możności zbliżone do uniwersyteckiego, aby synowie naszych obywateli wiejskich mogli wejść do zakładu tego skończywszy gimnazyum, i nie potrzebowali niezbędnie studyów uniwersyteckich do godnego noszenia nazwy wykształconego i cywilizowanego człowieka. Dotychczasowa szkoła Dublańska mimo najlepszych chęci założycieli i profesorów nie mogła sprostać temu zadaniu, głównie z powodu wadliwej organizacyi. Przyjmowano do niej niedokończonych elewów szkół gimnazyalnych lub realnych, którzy tylko cztery klasy ukończyli. Wprawdzie był przy szkole jeden rok przygotowawczy, lecz to nie wystarczało zupełnie do uzupełnienia wiadomości z nauk zasadniczych. Dla tego też przedmioty w szkole, która nosiła nazwę „wyższej,“ musiały być z konieczności rzeczy traktowane w sposób elementarny. W dodatku sam czas przeznaczony na studya specyalne był tak krótkim (dwa lata), że z przedmiotów specyalnych zdołano wyłożyć tylko encyklopedyczne, prawie pobieżne wiadomości, a przedmiotów ogólnie kształcących, rozszerzających pogląd młodych ludzi przeznaczonych na pełnienie z czasem ważnych funkcyi w kraju, dawano zaledwie szczyptę nic nie znaczącą. W dwuletnim kursie wykłady musiały być tak ograniczone, że nie odpowiadały wcale stanowisku wyższej szkoły rolniczej.

Konieczną więc jest rzeczą zaprowadzenie w nowo zorganizowanym zakładzie większej ilości lat szkolnych, urządzenia kursu przynajmniej trzyletniego, a przytem wymaganie przy przyjęciu do szkoły świadectwa dojrzałości.

Lecz obok powyższych jest jeszcze jedna kwestya, której rozstrzygnięcie na rozwój szkoły wyższej rolniczej będzie miała wpływ stanowczy. Nasuwa się bowiem pytanie, czy szkoła ma nadal pozostać w odosobnieniu, na wsi, jak to było dotychczas, czy też ma być przeniesioną do miasta. Otóż, według naszego zdania, jeżeli szkoła ma odpowiadać celom wyżej wymienionym, ma wydawać światłych obywateli kraju z wyższem wykształceniem rolniczem, to musi być umieszczoną w ognisku oświaty, w większem mieście, będącem stolicą kraju. Szkoła bowiem taka nie samych praktyków wydawać powinna, w szkole nigdy nikt na dobrego praktyka się nie wykierował, a urządzenie jej takie, żeby dawało wyższe wykształcenie ogólne na wsi, w odosobnieniu od innych wyższych zakładów naukowych, od żywego ruchu umysłowego, jest prawie niemożliwem, gdyż wymagałoby ogromnych, przechodzących siły kraju kosztów, na utrzymanie licznego nadzwyczaj grona profesorów i urządzenie bogatych zbiorów i pracowni. To też za granicą, głównie w Niemczech, gdzie dużo takich szkół było po wsiach rozsypanych, przyłączają je gromadnie do wyższych już istniejących zakładów naukowych, jak uniwersytetów, szkół politechnicznych i przenoszą do wielkich ognisk życia, do miast bogato zaludnionych. Przekonano się, że takie odosobnianie zakładów rolniczych tamuje ich rozwój, i utrzymuje prawie ciągle na jednym poziomie. Profesorowie znajdują się w odosobnieniu od kolegów pracujących na jednem i tem samem z nimi polu, nie mają łatwości w porozumiewaniu się z nimi, zasięgania rad i w ogóle brak im na zachęcie do szlachetnej emulacyi na polu naukowem. Uczniowie zaś pozostawieni są własnemu towarzystwu koleżeńskiemu, brak im styczności z szerszym światem, brak im sposobności ciągłego stykania się z inteligentnymi ludźmi i wyrabiania w ten sposób samodzielnego zdania, nie mogą oni korzystać z rozmaitych wykładów, laboratoryów, bibliotek i zbiorów, znajdujących się przy innych wyższych zakładach naukowych.

Dla tych więc przyczyn uważamy za potrzebne przeniesienie szkoły Dublańskiej do Lwowa i włączenie jej do Szkoły Politechnicznej jako osobnego wydziału, lub też jeżeli środki na to pozwolą, zorganizowanie osobnego zakładu. Pierwszą ważną zaletą takiego połączenia byłoby zaoszczędzenie kosztów na urządzenie nowych pracowni i wynajęcie lokalu, nowy bowiem gmach szkoły politechnicznej wystarczyłby, z małem rozszerzeniem, na umieszczenie nowoprzybywającego wydziału rolniczego. W liczbie obecnych profesorów szkoły politechnicznej znajduje się wielu takich, którzyby mogli wykładać jednocześnie przedmioty wchodzące w program szkoły rolniczej, a zresztą kilka z tych przedmiotów jest już nawet obecnie wykładanych na różnych wydziałach politechniki.

Lecz obok tego jest jeszcze jedna okoliczność, która nas skłania do gorącego popierania projektu przeniesienia szkoły rolniczej z Dublan do Lwowa i przyłączenia jej do szkoły politechnicznej. Jak wiadomo, większość młodzieży obywatelskiej, majętniejszej, szukając wyższego wykształcenia, przyjeżdża do Lwowa i wstępuje do uniwersytetu przeważnie na wydział prawny. Wydział ten jest formalnie przepełniony studentami, pochodzącymi z tych warstw społecznych. Otóż każdemu jest jasne, że gdyby we Lwowie była wyższa szkoła rolnicza, która oprócz wykształcenia fachowego, potrzebnego obywatelowi ziemskiemu, dawała jeszcze i wyższe wykształcenie ogólne, to wielka ilość młodzieży zamiast chodzić na prawo, rzuciłaby się do nowej instytucyi. A korzyść z takiej zamiany byłaby bez wątpienia bardzo wielką, gdyż wszyscy to czują, że krajowi trzeba jak najwięcej ludzi realnie wykształconych i że ze znajomości prawa obywatel bardzo mały mieć może pożytek.

Streszczając to, cośmy dotychczas powiedzieli, przychodzimy do następujących postulatów:

I. Do nowej szkoły należy przyjmować uczniów, którzy posiadają świadectwo dojrzałości.

II. Zamiast dwuletniego, zrobić kurs nauk trzyletni.

III. Przenieść szkołę do Lwowa i postawić ją samodzielnie lub też złączyć ze Szkołą Politechniczną.

---

# KRWAWE ZNAMIĘ.

**POWIEŚĆ**

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

*(Dokończenie.)*

Nazajutrz po nocy bezsennej, spędzonej w krześle u komina, z brzaskiem dnia wstał Spytek. Doniesiono mu, że stary burgrabia, którego był pan Feder wygnał, bo się z nim nieustannie o zamek i jego opuszczenie kłócił, żyje w miasteczku. Polecił go sprowadzić natychmiast. Przywiedziono mu nieboraka Siemiona, ale ten już ani o swej sile nie mógł chodzić, ani myśli zebrać łatwo. Od wygnania swego podupadł i gdyby nie łaskawy chleb na probostwie, z głodu by umarł, bo swoich własnych potrzeb opatrzyć nie umiał. Starca ożywiło trochę to szczęście, że dziedzica Mielsztyniec nogi mógł uścisnąć. Rozpłakał się zobaczywszy go... oprzytomniał; ale po chwilce jaśniejszej, znów mu się myśli poplątały i mówić zaczął zupełnie od rzeczy. Mięszał odległą przeszłość z teraźniejszością, wspomnienia dawne ze swojem życiem. Eugeniusz rozpłakał się sam słuchając go, tak przez usta starca mówiła miłość miejsca, rodu jego, tradycyi i losów...

Chciał się od niego czegoś prawdziwszego dowiedzieć o nieszczęsnej ruinie, myślał, że Siemion potrafi go po niej oprowadzić; ale próżno się spodziewał. Burgrabia nie miał już ani nóg, ani oczów, ani pamięci. Jedno tylko żywo utkwiło w jego umyśle i sercu, to wygnanie go przez Federa, na którego wzywał pomsty niebios, jako na świętokradzcę i rabusia.

Zaranek przewidywał, iż obejrzenie szczegółowe zamku i obliczenie strat niepowetowanych, może znacznie jeszcze pogorszyć stan Eugeniusza, i tak już zatrważający, ale nie można go było od tego żadną miarą powstrzymać. Z energią i wymuszonym uśmiechem zabrał się na przejście komnat, mówiąc do przyjaciela, który podawał mu rękę:

— Nie lękaj się, gorzej mi nie będzie jak jest, a muszę widzieć własnemi oczami skutki mojego niedbalstwa, mej winy... Niech to będzie moją karą. Zasłużyłem na nią, chodźmy...

W żywej pamięci miał jeszcze Eugeniusz stan zamku, gdy go opuszczał. Strasznie wydała mu się pustka ta, jakby całym wiekiem od przeszłości bardzo jeszcze dawnej odległa. W pokoju ojca ukląkł się pomodlić. Papiery ręką jego powiązane leżały na ziemi; pozbierał je i poskładał na stole.

— Daremnem jest staranie ludzkie — odezwał się do Zaranka, aby utrzymać to, co Bóg skazał na zniszczenie. I my i pamiątki nasze w proch pójść musimy... Walczyliśmy z przeznaczeniem długo, a ręka jego zepchnęła nas nad brzeg tej przepaści.

Co chwila pytał Eugeniusz o znikłe przedmioty. Nie umiano mu odpowiedzieć, co się z nimi stało, i wojna nie tyle ich zniszczyła, co ludzka chciwość lub lekkomyślność. Resztę wizerunków rodziny młody Spytek kazał odwieźć do kościoła i w nim je umieścić.

— Tam będą bezpieczniejsze — rzekł smutnie.

Portret pięknej niewiasty z krwawą pręgą na szyi, sam, jak mówiono, oberwał się ze ściany i leżał na posadzce, bo nikt go z niej podnieść nie śmiał... Eugeniusz dźwignął go, popatrzył w twarz uśmiechającą mu się i pożegnał wzrokiem smutnym. Że zbroi ledwie szczęty pordzewiałe zostały; z mniejszych portretów wiele wisiało u rządcy...

Kosztownego sprzętu nie doliczyć się było: wszystko składano na wojny... Naostatek wszedł pogrążony w myślach dziedzic Mielsztyniec do kaplicy zamkowej. Ta tylko ocalała jedna i nic nie zmieniło w niej nawet miejsca; ludzie bali się naruszać własność Bożą... Spytek stanął w progu z tęsknicą swoją. Na domiar nieszczęścia nie umiał się modlić; źródło modlitwy w nim wyschło, wiara zamarła, serce zobojętniało. Młody, nie miał łzy, nieszczęśliwy, nie miał nadziei, chory, nie pragnął życia; jedne wspomnienia go wzruszały.

— Teraz, przyjacielu mój — rzekł Eugeniusz do Zaranka — rozstaniemy się na czas jakiś, mnie woła święty obowiązek... Ty spełnij tu trudne posłannictwo mściciela krzywd moich... daję ci nieograniczoną władzę, nawet przebaczenia w imieniu mojem. Uczyń co zechcesz, co ci serce natchnie. Ja muszę jechać.

Zaranek się domyślał celu podróży Spytka i truchlał znowu nad jej skutkami, nie wiedząc, co się działo z matką Eugeniusza. Nie śmiał on jej oznajmywać o przybyciu syna...

Powóz stał zaprzężony od godziny. Milcząc, siadł do niego młody człowiek, który ledwie miał tyle siły, że się mógł na stopień wdrapać. Konie ruszyły ku Rabsztyńcom i myśl razem z niemi. Eugeniusz, kręcąc się po świecie, choć pisywał do matki (nie oznajmując jej wszakże o bliskiem przybyciu swojem), od niej nie miał żadnej wiadomości. W drodze już, czyniąc z siebie i rodzinnych wstrętów ofiarę, postanowił pierwszy udać się do Rabsztyniec, podać rękę Jaksie i upaść do nóg matce. Czuł biedny, że życie jego niedługo się już pociągnąć miało; skazany na śmierć przez lekarzy, chciał przed zgonem pożegnać matkę, ubłagać ją, aby przyjęła od niego ofiarę majątku i pojednać się z całym światem...

W sercu Eugeniusza śmierć wszystką żółć i gorycz przesączyła na miłość i pragnienie pokoju i zgody... Miewał chwile oburzenia i gniewu, jak wczorajszą, ale te prędko w sobie tłumił, wspomniawszy na małość życia, na drobność spraw jego, na lichotę tych namiętności muszych, które trzepią skrzydły nad kruszyną trupiego pyłu.

Z bliska poznany, Eugeniusz obudzał litość i przywiązanie.

Był to w istocie umysł niepospolity, a serce tak czyste i szlachetne, jak mało; nadewszystko zaś łagodność i dobroć, a pobłażanie miał niewyczerpane. Fałsz, krzywda, wymierzone słabszemu, oburzały go, cnota rozpłomieniała; ale z tem czuciem aż do rozdrażnienia delikatnem, był raczej świadkiem, niż uczestnikiem czynnego życia, raczej dyletantem w niem niż artystą. Nic go nie obchodziło dla niego, nie wierzył w przyszłość, czuł się dodniowym, skazanym... myślał o drugich, o sobie jak najmniej.

Ten stan duszy nie uczynił go ponurym ani przykrym, owszem, był prawie wesół, bawił się widokiem świata, zachwycał sztuką, noce trawił nad książkami. Zajmowały go spory literackie, teatr, pisma nowe, artyści wszystko, co odrywało od rzeczywistości. Z tą ani się pogodzić, ani przeżyć umiał chwilę; tę mu przyjaciele musieli zakrywać, ułatwiać, osłaniać, tak aby go nie dotykała. Wszystko co było rachubą, interesem, niecierpliwiło go i nudziło. Z chęcią ponosił straty największe, byle się nie dotykać powszedniej kuchni żywota.

We wszystkiem wyglądał Eugeniusz na pielgrzyma, jakim był, przechodzącego tylko po ziemi, aby powrócić do jakiegoś innego, lepszego, nieznanego kraju.

Gdy powóz się zbliżył do wzgórza, na którem stała ruina rabsztynieckiego zamku, Eugeniusz kazał się zatrzymać woźnicy, wysiadł i poszedł piechotą. Z dwóch bytności w tem miejscu, pozostawało mu mgliste wspomnienie, którego ze stanem teraźniejszym jakoś pogodzić nie umiał.

U podnóża pagórka, właśnie tam, gdzie się zatrzymał, postrzegł prosty, czarny krzyż drewniany, żałobną, białą obwiedziony pręgą. Na nim była drewniana figura Zbawiciela, a u spodu wyczytał napis:

„Za duszę Iwona proszę o westchnienie do Boga“.

Tak w progu przeznaczenie spotkało go, niosąc mu na ofiarę wieść o śmierci tego, który długo był ostatnim zaprzysięgłym nieprzyjacielem jego rodu i domu, przez którego stracił on matkę... i pozostał sierotą...

Krzyż ten oszczędzał mu bolesną chwilę pytania, zdejmował z jego bark ciężar, ale mu wydarł nadzieję przebaczenia i przejednania się na ziemi. Stanął u stóp jego i zadumany, nierychło posunął się zwolna ścieżynką wiodącą ku górze... Wszystko tu teraz inaczej, po wiejsku skromnie, ale mile i porządnie wyglądało. Z zarośli porobiono klomby, które się bujnie rozrosły...

Pośród nich widać było dom murowany, przerobiony ze skrzydła ocalonego zamku, ale wyglądający bardzo dostatnio i wdzięcznie. Znać było z powierzchowności, że nad nim troskliwe oko, serce i ręka czuwały. Ale w tem podwórcu zasianem kwiatami, które wczesny październikowy mróz powarzył, nie było żywej duszy; jeden stary, wychudły pies leżał w progu, podniósł głowę, zaszczekał i burcząc oddalił się.

Eugeniusz wszedł do sieni, i tu jeszcze nie zastając nikogo. Machinalnie, instynktem wiedziony, z bijącem sercem wstąpił na wschody; milczenie głuche panowało w całym domu. Otworzył drzwi pierwsze, nikt ich skrzypnięcia nie posłyszał, nikt przeciw niemu nie wyszedł. Z tego pokoju otworem stały drzwi drugie do owalnego salonu, w którym niegdyś długo przemieszkiwał Iwo. Widać było okna w nim przysłonięte. Eugeniusz stanął. Obawiał się iść dalej i odezwać, lękał pytać. Jak zmartwiały wrósł w posadzkę...

Z mroków sali powoli podniosła się od łoża stojącego w kącie postać wyniosła, czarna cała... Owal białej jak marmur twarzy ujrzał z daleka, i domyślił się w nim raczej, niż poznał swą matkę. Długie jej, piękne, niegdyś kruczej czarności włosy, spadały na ramiona zbielałe, srebrne. W tej koronie śmiertelnej wyglądała majestatyczniejszą, uroczystszą jeszcze, niż niegdyś... królową.

Co jej oznajmiło o przybyciu syna, który stał, nie śmiąc przestąpić progu?... Serce może... Nie zdziwiona, bez okrzyku, milcząca wyszła wprost do niego i zarzuciła na jego ramiona ręce wychudłe, całując twarz jego zełzami.

Wpatrzyła się weń długo, długo, drżąca, i strumień łez polał się z wypłakanych oczów.

— Dziecko moje! — odezwała się nareszcie, postrzegłszy znamię śmierci na jego czole — i ty!...

Nie mogła dokończyć, uścisk gorący zamknął jej usta.

— Przyszedłem zapóźno — odezwał się Eugeniusz — nic nie wiedziałem, nic! Przybyłem podać mu rękę...

— Pomódl się na mogile — smutnie odpowiedziała matka. — On wszystkim przebaczył, żałował za wszystko... a Bóg mu życia przedłużyć nie chciał... Wszystkie te mogiły sypią się na sercu mojem i coraz większym ciężarem je gniotą, aż i ono pęknie. A! ty jeszcze nie wiesz, ilem przebyła boleści... chodź!

I podała mu rękę, na palcach wracając do pokoju, z którego wyszła. Z obawą niewysłowioną Eugeniusz szedł za nią, nie wiedząc, dokąd go prowadzi.

Cicho stąpając, doszli tak do przyćmionego kątka. Tu stało łóżeczko małe, a na ciemnej jego obsłonie leżała uśpiona kilkoletnia dzieweczka. Tylko anioły na starych mistrzów obrazach mają ten niebiański wdzięk, pełen słodyczy i pokoju, świadczący o nieśmiertelności, wyznawający Boga... jaki miało to dziecię blade, śliczne, z którego wpół przymkniętych ustek dobywał się oddech krótki, ciężki, jakby na tym świecie powietrza czystym tym piersiom brakło.

Leżała na białej poduszce z włosami jak złote pasmo rozsypanemi po niej, niby jasnem otoczona niebem, ze złożonemi na piersiach białemi, cudownych kształtów rączkami, w sukience jasnej i lekkiej. Eugeniusz z przestrachem ujrzał na odsłonionej jej szyjce jakby koralową przepaskę. Było to znamię takie właśnie, jakie na portrecie kobiety w Mielsztyńcach się znajdowało.

— Bóg — szepnęła wdowa — naznaczył ją piętnem śmierci. On zrządził, by w ten dom wniosła przypomnienie tamtego. Iwo, gdy ją nowonarodzoną wziął na ręce i ujrzał tę pręgę złowrogą, skłonił głowę przed wyrokiem Bożym, poddał mu się... ale ten cios dłań był ostatnim... Życie jego odtąd wlekło się smętnem konaniem... Mnie jednej Bóg przeznaczył, bym przeżyła wszystkich... i jak posąg żywa stała na grobach...

Przebudzona głosem matki, Emilka podniosła główkę, otwarła oczy i uśmiechnęła się... Widok nieznajomego, stojącego z matką u jej łóżeczka nie przestraszył jej... obie rączki wyciągnęła ku niemu, wiedziona przeczuciem jakiemś cudownem i zawołała:

— Braciszek!

Eugeniusz przykląkł u łóżka, i dzieci, które się w życiu nie widziały nigdy, z których jedno nawet o istnieniu drugiego nie dowiedziało się aż teraz, radośnie padły w swoje objęcia.

— A! mamo! — zawołała Emilka... — mnie się to wszystko wyśniło. Widziałam jak braciszek leciał tu do nas, jak się u czarnego krzyża modlił, a ojciec stał tam i błogosławił go i witał... jak potem wchodził, zbliżał się... jak patrzył na mnie. Pragnęłam go coprędzej przywitać... i prosiłam aniołów, aby mi ciężkie podnieśli powieki.

Zamilkła. Dzieci długo patrzyły na siebie, a matka stała z załamanemi rękami nad tym obrazem, który jej serce już ubierało w całuny...

Niestety! na obu tych białych czołach palec Boży napisał dla niej wyraźny wyrok rozstania. Jakże chętnie byłaby im swoje uparte oddała życie, aby je tchem ostatnim wskrzesić na długie lata!..

Ten wieczór w rabsztynieckim dworze, u kolan matki, przeszedł jak sen uroczy, ale wyczerpał resztki sił Emilki i Eugeniusza. Blisko północy mieli się rozejść, gdy dziecię położyło się na swe łóżeczko i prosiło ich, podawszy im rączki obie, aby nie opuszczali ją, dopóki nie uśnie. Przymrużyła oczka uśmiechając się dziecina, pożegnała matkę i brata i powoli zdawała się usypiać. Rączki jej zwolna opadały, stygły, kostniały, oddech stawał się coraz mniej wyraźnym... pocałunek śmierci skończył jej życie wiosenne, uwiędła jak kwiatek poranny...

Od tego łóżeczka wstała niezłamana wdowa, bez łzy, bez jęku, podniosła córkę, przycisnęła ją do piersi i u stóp tej nowej ofiary uklękła modlić się Bogu.

W kilka dni potem Eugeniusz w krześle u okna, patrząc na słońce zachodzące, pożegnał matkę uśmiechem... Nie żal mu było życia. Dobył w ostatniej chwili na piersi noszoną zeschłą cyprysu włoskiego gałązkę, pamiątkę jakiejś chwili złotej, popatrzył na nią, pocałował, potem schylił się ku łonu matki i... zasnął, by się nie przebudzić...

---

Wdowa przeżyła wszystkich... Na pogrzebie dzieci widziano ją jak słup stojącą prosto, niezłamaną bólem, z zaciśniętemi usty, w koronie białych włosów pod czarną zasłoną... Odtąd już oczy jej ludzkie nie postrzegły więcej, aż w lat kilkanaście na śmiertelnym katafalku... Resztę życia spędziła zamknięta w Rabsztyńcach z jedną sługą, która nie wchodziła do jej pokoju, zamurowanego jak cela, i jedzenie jej tylko przez zostawiony otwór podawała. W żałobie, włosiennicy, na nagiej ziemi, bez pościeli, łamiąc się z resztkami życia, spędziła jeszcze długie lata, aż Bóg wreszcie litościwy, w rocznicę śmierci męża, i ją do siebie powołał.

Koniec.

# STUDYA HISTORYOZOFICZNE

TADEUSZA KORZONA.

## VICO.

### II.

*Nowa nauka.*

(*Ciąg dalszy.*)

Księgę III. zawierającą „Odkrycie prawdziwego Homera“ napisał Vico, aby dowieść, że Homer był tylko ideałem, charakterem bohaterskim ludu greckiego i że „siedm miast co się sprzeczały o miejsce urodzenia tego wieszcza, same były Homerami“. Opuszczamy ją wszakże jako zbyteczną dla zrozumienia teoryi autora.

Sama teorya historyozoficzna czyli „Historya idealna“, owe sławne *corsi e ricorsi* — stanowi przedmiot dwóch ostatnich ksiąg mianowicie IV. zawiera „przebieg dziejowy ludów“ (Corso che fanno le nazioni), a V. „Powrót rzeczy ludzkich dokonywany przez odradzające się ludy“ (Ricorso delle cose umane, nel risurgere che fanno le nazioni).

„Przy świetle umieszczonych powyżej wskazówek tak filozofii jak filologii, przy rozwinięciu też o wiekuistej idealnej historyi skreślimy — powiada autor w tej IV księdze drogę odbywaną przez ludy stale i jednostajnie pomimo rozmaitości ich poglądów na trzy *wieki, boski, bohaterski i ludzki,* (tre età degli Dei, degli Eroi et degli Uomini), które, jak mówili Egipcyanie, upłynęły w ich świecie“.

Ten podział troisty opiera się; 1. na trojakiej naturze ludów, naprzód poetyckiej czyli twórczej, czyli, jeżeli można tak nazwać, boskiej, reprezentowanej przez poetów teologicznych; potem bohaterskiej, owych patrycyuszów i bohaterów synów Jowiszowych; nareszcie „ludzkiej rozsądnej a zatem skromnej, dobrotliwej, rozumującej, która ulega prawom sumienia, rozumu i

obowiązku"; 2. na trojakich obyczajach, najprzód religijnych i pobożnych (Deukalion i Pirra), potem skłonnych do gniewu i obraźliwych (Achilles), w końcu legalnych urobionych na poczuciu obowiązków obywatelskich; 3. na trojakiem prawie, naturalnem, boskiem, bohaterskiem i ludzkiem (dowód na historyi prawa rzymskiego, które składało się naprzód z ustaw świętych i tajemnych, potem przeistoczyło się na publiczne jus latens, ale ściśle formalne, wyłącznie obywatelom rzymskim przysługujące, za czasów zaś cesarstwa opierało się już na sprawiedliwości przyrodzonej, wszechludzkiej; 4. na trojakich rządach, teokratycznych ze swemi wyroczniami, bohaterskich czyli arystokratycznych (Heraklidów, Kwirytów) i ludzkich, tak demokratyczno-republikanckich jak monarchicznych, gdy równością natury rozumnej, właściwą rodzajowi ludzkiemu, wszyscy zostaną zrównani wobec prawa; 5. na trojakiej mowie, najprzód za pomocą niemych aktów lub ceremonii religijnych (pozostałych w acta legitima rzymskiego prawa jak np. mancipatio-manucapere, possessio-porro sessio, oraz w ścisłych formułach: uti lingua nuncupassit ita jus esto), następnie za pomocą znaków wojennych nareszcie za pomocą dźwięków członkowanych, zwyczajnego języka narodów w dzisiejszym stanie; 6. na trojakiem piśmie: hieroglificznem, kiedy ludzie tworzyli ogólniki poetyczne (universali poetici), przenosząc wszystkie przymioty wieszczbiarstwa na Jowisza, wszystkie atrybucye małżeństwa na Junonę; potem na piśmie bohaterskiem, kiedy ludzie podobnie przenosili wszystkie cechy waleczności na Achillesa, mądrości na Ulyssesa; nareszcie na piśmie zwyczajnem, ludowem, złożonem z osobnych liter; 7. na trojakiej jurysprudencyi: najprzód mystycznej, wieszczbiarskiej, potem ściśle przestrzegającej wyrażenie form, nareszcie ludzkiej, która szuka w danym fakcie tylko zgodności z prawdą i sprawiedliwością; 8. na trzech rodzajach powagi, naprzód boskiej, nie znoszącej żadnych wyjaśnień (bo jakże można żądać od opatrzności usprawiedliwienia z jej wyroków), następnie bohaterskiej, zawartej w literze formuł, w końcu ludzkiej, opartej na znaczeniu ludzi doświadczonych, znakomitych z mądrości w rozumowaniu i z roztropności w praktyce. Tym trzem powagom cywilnym odpowiadają trzy powagi polityczne: ojców, którzy są zarazem jedynymi właścicielami; senatów, posiadających tylko prawo opieki nad ludem i nareszcie ludu, kiedy senat jest tylko doradcą monarchy; 9. na trzech rodzajach rozumu, boskim czyli objawionym (bo i poganie wierzyli, iż rozum boski udzielał im rad za pomocą wyroczni i wieszczb, na rozumie państwowym czyli rozumie stanu, aequitas civilis, znanym senatowi szczególnie rzymskiemu (trzeci gatunek rozumu nie jest wymieniony) nareszcie; 10. na trzech rodzajach sądu jako to: a) sądy boże, orationes, obsecrationes, implorationes, obtestationes, sądy rzymskie, przyzywanie bogów na świadectwo (implorabant deorum fidem; przekleństwo i poświęcanie winowajców Jowiszowi, Cererze, Saturnowi etc., pojedynki duella np. Parysa z Menelausem, Horacyuszów z Kurcyuszami; b) sądy bohaterskie cechują się przestrzeganiem ścisłości wyrażeń do tego stopnia, że „kto utraci tylko przecinek ten i sprawę traci", (qui cadit virgula, caussa cadit) c), sądy ludzkie nie są już ślepe i nieubłagane; dobrotliwe prawo pyta tylko sumienia, wyrok opiera się na pewnym wstydzie wrodzonym, na poszanowaniu bliźniego, na dobrej wierze. Z takich ludzkich wyroków powstały teraz trzy systemata do prawa wojny: Grocyusza, Seldena, i Puffendorfa, których liczne błędy wytknął ks. Nicolo Concina, profesor uniwersytetu w Padwie.

Z dodatkowych dowodów i objaśnień zwrócilibyśmy uwagę tylko na ustęp „o wiekuistem, przyrodzonem prawie królewskiem, wedle którego ludy na ostatku używają wypoczynku pod rządami monarchicznemi", zakończony wyrazami: „że monarchie najlepiej przypadają do natury ludzkiej w takich epokach, kiedy rozum dosięga najwyższego rozwoju". Zbija też teoryę Bodin'a, że monarchie były formą pierwotną, która za pośrednictwem tyranii przeistoczyła się na demokracyę, a ta na arystokracyę.

Takie to są cechy i prawa życia dziejowego narodów; że jednak dotychczas dowody były czerpane z historyi starożytnej, przeto Vico poświęca ostatnią V księgę na rozjaśnienie powtórnej epoki barbarzyńskiej i przedstawienie pokrótce dawnych cech bytu wśród nowych ludów.

Dla utwierdzenia naturalnego biegu rzeczy ludzkich Bóg sprowadził powtórnie czasy prawdziwie boskie. Królowie katoliccy wszędzie przywdziewają dalmatyki dyakonów, jako obrońcy wiary chrześciańskiej, poświęcają osoby swe Bogu, biorą tytuł „świętego królewskiego majestatu", przyjmują godności kościelne, jak to czytamy w Symforiano Camperio o Hugonie Kapecie, że mianował siebie hrabią i opatem Paryża, Paradin zaś w Annalach Burgundzkich wymienia najstarożytniejsze pisma, w których monarchowie Francyi mianowali siebie książętami i opatami, lub hrabiami i opatami. Pierwsi też królowie chrześciańscy zakładali zbrojne zakony religijne, za pomocą których utwierdzili u siebie wiarę chrześciańską, pokonywając Aryanów, Saracenów i wielu innych niewiernych. Potem wróciły „czyste i święte wojny" ludów bohaterskich w czasie krucyat, a jako niegdyś starożytni heroldowie „wywoływali bogów" z nieprzyjacielskiego miasta, by je pozbawić opieki niebios, tak nowi barbarzyńcy przy zdobyciu miasta poszukiwali i wynosili zaraz relikwie świętych. Od V. wieku zwycięskie barbarzyńskie ludy nie rozumieją się ze zwyciężonymi; w całej Francyi, Italii, Hiszpanii nikt nic nie pisze w języku ludowym, a w Niemczech, podług Aventino, de Annalibus Bojorum, zaczęto pisać dyplomata dopiero za Fryderyka Szwabskiego, czy nawet jak powiadają inni, za Rudolfa Habsburskiego; pisano tylko zepsutą łaciną, którą znało niewielu duchownych ze szlachty; tak więc możemy wyobrazić sobie, że w tych nieszczęśliwych wiekach narody musiały wrócić do języka niemego. Dla braku liter wróciło znowu pismo hieroglificzne w godłach rycerskich (Imprese Gentilizie), które też najczęściej dla zapewnienia własności oznaczały prawa senioralne posiadanie domów, grobów, pól, bydła. Wróciły pewne rodzaje sądów bożych, zwanych „oczyszczeniem kanonicznem", chociaż pojedynki nie były znane w prawie kanonicznem. Wróciły rozboje bohaterskie. Jak starożyni bohaterowie chlubili się nazwą zbójcy, tak tytuł pana zamienił się na miano korsarza (? corsale). Wróciło niewolnictwo bohaterskie, ponieważ jak przy starożytnych pojedynkach zwycięzca miał przeciwnika za bezbożnego, tak chrześcianie używali wyrazu „Turki", co znaczy „psy"; wzajemnie znów Turcy nazywali chrześcian „wieprzami". Ale najdziwniejszym powrotem są Asyle, o których Liwiusz powiada, że były zawiązkiem wszystkich państw. Ponieważ wznowiły się gwałty rabunki, morderstwa, przeto ludzie łagodniejsi a bojący się ucisku uciekali do biskupów lub opatów wraz ze swemi rodzinami i dobytkiem, a tym sposobem tworzyło się dużo lenności. Ztąd tak wielka liczba miast i fortec nosi imiona świętych. Małe kapliczki w miejscach ustronnych możnaby nazwać też asylami, i wierni wznosili dokoła nich swoje mieszkania. Jest takich dużo, pomiędzy innemi opactwo św. Wawrzyńca w Awersie, od którego zależało 110 kościołów a wszędzie prawie opaci św. Wawrzyńca byli zarazem baronami. (C. d. n.)

---

# WIARA W DUCHY

## ZA NASZYCH CZASÓW

napisał

B. Kiewl'cz.

*(Ciąg dalszy.)*

Charakterystycznym wielce jest sposób, w który p. Crookes starał się mniemane zjawiska spirytyzmu wytłumaczyć.

Zestawiwszy wszystkie znane mu fakta, przechodzi Mr. Crookes do ich objaśnienia i podaje rozmaite teorye i przypuszczenia, zbijając je lub też uzasadniając. Podajemy poniżej zestawienie tych teoryi w streszczeniu, nie ustępując ani na krok od ducha, w którym sam autor je przedstawił. Crookes podaje 8 rozmaitych tłumaczeń, przedstawiających opinie rozmaitych ludzi. Według pierwszej teoryi, wszystkie fenomena są rezultatem sztuk zręcznie wykonanych, doskonałych mechanizmów albo też zgrabnego prestidigitatorstwa; wszystkie medya są oszustami, a reszta wierzących głupcami.

Co do nas skłaniamy się najbardziej do tej teoryi, lecz dajmy przez chwilę głos Crookes'owi, który zbija ją stanowczo. „Widocznem jest", powiada Crookes, „że teorya ta tylko pewną małą część obserwowanych fenomenów wytłumaczyć zdoła. Jestem jak najmocniej przekonany, że wiele bardzo medyów jest zwykłymi oszustami, którzy, korzystając z zajęcia się publiczności sprawami spirytualizmu, starają się wyciągnąć z łatwością pieniądze z kieszeni łatwowiernych; są znowu tacy, którzy bez widoków materyalnych oszukują jedynie w celu nabrania rozgłosu. Ja sam spotkałem już nieraz oszustwa w tym kierunku, z których niektóre były bardzo zręczne, inne zaś były tak niezgrabne, że je każdy mógł odkryć od razu.. Jednak wielka jest różnica między tymi, którzy zajmują się sztuczkami tego rodzaju z profesyi, którzy są otoczeni pomocnikami i najrozmaitszymi aparatami, a zjawiskami wywołanemi przez takiego np. p. Home, które odbywają się w dzień biały, w prywatnem mieszkaniu, w obecności swoich przyjaciół, którzy wszystko badają najstaranniej. Zresztą p. Home był często rewidowany przed i po posiedzeniu, a podczas najdziwniejszych zjawisk trzymałem jego ręce w moich, a nogi moje oparte były na obu jego nogach". Więc według pana Crookesa ta pierwsza hipoteza jest do odrzucenia.

Według drugiej teoryi, osoby, zebrane na posiedzeniach i widzące tego rodzaju zjawiska, są ofiarami pewnego rodzaju manii czyli złudzenia i zdaje im się, że widzą rzeczy, które nie mają rzeczywistego objektywnego istnienia. Według innej znów teoryi, reprezentowanej głównie

przez Dra Carpentera, słynnego fizyologa, o której, ze względu na poważne stanowisko osoby tego uczonego, będziemy potem trochę obszerniej mówili, wszystkie wspomniane zjawiska są rezultatem po większej częś i bezwiednej działalności mózgowej, tak zwanej *Cerebracyi*. Według Crookesa, obie te teorye mogą tylko małą liczbę faktów objaśnić i dla tego nie są dopuszczalnemi. Inny cały szereg teoryi należy do dziedziny nauki o duchach i jako taki jest śmiesznym i nie podlega żadnej poważnej dyskusyi. Przypuszczanie złych duchów, dyabłów, Daemonów, gnomów, czarownic i t. d. byłoby rzeczą politowania godną pod koniec dziewiętnastego stulecia. Jedną z tych teoryi, spirytualną *par excellence*, jest, że objawiają się w tych wypadkach dusze osób umarłych. Nareszcie jedną z teoryi, należących wprawdzie do tego zakresu, lecz oczyszczoną trochę z dziwactw średniowiecznych, jest tak zwana teorya *siły psychicznej*. Według tej teoryi przyjmuje się, że medyum, albo też całe towarzystwo obecnych przy zjawiskach, posiada pewną siłę, moc, wpływ albo też zdolność, za pomocą której wywoływać może wspomniane zjawiska. To właśnie „coś", ta siła wywołująca zjawiska, została nazwaną przez jednego z przywódzców spirytyzmu, pana Coxa, „siłą psychiczną". Według słów tego pana, teorya siły psychicznej jest tylko uznaniem niezaprzeczonego (!) faktu, że pod pewnymi warunkami, które dotychczas nie są dostatecznie zbadane, i w pewnej niedokładnie dotąd obliczonej odległości od osób, które mają szczególną organizacyę nerwową, działa siła, właśnie ta „siła psychiczna", która bez dotknięcia mięśniami albo w ogóle jakiegokolwiek widomego połączenia, działa z odległości i wywołuje w przedmiotach widoczne ruchy albo też dokładnie słyszane dźwięki.

Różnica zaś między tymi, którzy przyjmują istnienie siły psychicznej a spirytualistami jest ta, że podczas gdy pierwsi powiadają, iż nie ma dotąd dowodu, żeby w tych zjawiskach brała udział jako działacz zewnętrzny, inna inteligencya jak samo medyum, i że nie ma dotąd dowodu na to, że dusze zmarłych mięszają się w te sprawy, spirytualiści twierdzą i uważają to ostatnie za punkt wiary, i nie żądają nawet dowodu na wpływ duchów ludzi, którzy poumierali.

Z zestawienia więc tych teoryi widać, że cała sprawa toczy się o dokładne zbadanie faktów, o długi szereg doświadczeń prowadzonych w sposób jak najdokładniejszy. W ten sposób kwestya powinna być rozstrzygnięta. Póki ktoś się nie weźmie do sumiennego zbadania faktów, do podania ich pozytywnego objaśnienia, wszystkie bałamuctwa spirytystyczne będą miały wolną drogę do rozszerzania się i niejedną głowę zawracać będą.

Położenie obecne jest niewyraźnem, szczególniej z tego powodu, że kilka imion głośnych w nauce otwarcie oświadczyło się za zasadami spirytyzmu.

Nie możemy pojąć, jak ludzie poważni, naukowi w pełnem znaczeniu tego słowa, dali się obałamucić, i to w ten sposób, że stali się gorącymi apostołami tej epidemicznej choroby umysłowej.

Posiedzenia spirytualistów odbywają się w sposób poważny, z ogromnem namaszczeniem. Dla człowieka trzeźwego nie może być nic nad to humorystyczniejszego.

Jako *curiosum* podajemy tutaj przepisy, według których mają się odbywać posiedzenia spirytystyczne. Jest to wyciąg z najbardziej rozpowszechnionego w Anglii czasopisma poświęconego takim sprawom, a zowiącego się: „The Spirytualist". (Nr. 11 z roku 1874). Przepisy te brzmią jak następuje:

1. Pokój winien mieć zwykłą temperaturę, lepiej zimną niż za gorącą i trzeba zarządzić, żeby nikt z obcych nie wchodził i żeby przez cały czas posiedzenia nie było żadnej przeszkody, przynajmniej przez godzinę. Zimna, wilgotna i mglista pogoda nie jest sprzyjającą do wywołania duchowych fenomenów.

2. Kółko powinno składać się z czterech, pięciu albo sześciu osób, mniej więcej po równej liczbie z obu płci. Trzeba usiąść około drewnianego niepokrytego stołu, dotykając dłoniami wszystkiemi do jego powierzchni. Czy ręce stykają się jedna z drugą lub nie, nie ma to żadnego znaczenia. Stół powinien być tak duży, żeby wszyscy mogli siedzieć wygodnie. Odjęcie ręki na kilka sekund od stołu nie szkodzi wcale. Jednak opuszczenie zupełne stołu przez jednego z obecnych działa szkodliwie i opóźnić może pojawienie się fenomenów.

3. Przed rozpoczęciem posiedzenia, położyć trzeba na stole kilka ołówków i kilka arkuszy papieru, żeby zapisać wiadomości otrzymywane.

4. Osoby, które się znosić nie mogą, nie powinny znajdować się w jednem kółku, gdyż taki brak harmonii przeszkadza zwykle manifestacyom, z wyjątkiem gdy się znajdują medya doświadczone. Wiara lub niewiara w zjawiska spirytystyczne nie ma tu żadnego wpływu i tylko nieuzasadniona nienawiść może działać osłabiająco.

5. Zanim się zaczną objawiać fenomena, dobrze jest zaprowadzić ogólną rozmowę, lub też śpiewać pieśń jakąś chórem, a najlepiej żeby pieśń ta miała poważny charakter.

6. Pierwszym symptomatem działania siły niewidzialnej jest uczucie, jakby słabego, chłodzącego wiatru przewiewającego po rękach. Jako pierwsze fenomena pokazują się zwykle poruszenia stołu, albo też pukania.

7. Gdy nastąpią ruchy stołu i pukania, to niech mówi do stołu, jakby do istoty rozsądnej (sic!) jedna tylko osoba dla uniknięcia zamięszania. Niech ta osoba przewodnicząca powie wtedy do stołu, że trzy pochylenia się lub też uderzenia oznaczają *tak* albo *nie* dwa zaś *wątpliwość* i niech zapyta się, czy żądanie to jest zrozumianem. Jeżeli się otrzyma w odpowiedzi trzy uderzenia, niech powie: „Czy chcesz, gdy będę recytował alfabet przy odpowiedniej literze stuknąć i w ten sposób objawić nam twoje zdanie?" Jeżeli i na to stół odpowie trzema stuknięciami, to rzecz cała jest załatwiona i można się wdać ze stołem w rozmowę.

8. Potem postawić trzeba pytanie: „Czy siedzimy w należytym porządku, aby wywołać najlepsze zjawiska?" Wtedy prawdopodobnie kilku członkom kółka dana będzie wskazówka do zamiany miejsc; wskutek tego objawy będą znacznie silniejsze. Wtedy zadać należy pytanie: „Kto z nas jest Medyum?" Jeżeli wtedy siła, która sama siebie zwie zwykle „duchem" powie, iż znajduje się w związku z którąkolwiek z osób obecnych, to należy za pomocą dobrze ułożonych pytań zbadać dokładność tego oświadczenia.

9. Silnem medyum do zjawisk duchowych jest zwykle osoba wesołego i serdecznego usposobienia i wrażliwa na wpływy magnetyzmu. Większość medyów należy do płci pięknej.

Najlepsze i najliczniejsze zjawiska otrzymują się wtedy, gdy medyum i wszyscy członkowie kółka są względem siebie przyjaźnie usposobieni i wogóle czują się szczęśliwymi a trosk wielkich nie mają. Najlepszemi są kółka rodzinne, bez ludzi obcych. Być może, że już przy pierwszem posiedzeniu pojawią się zjawiska medyumistyczne wyższego rzędu niż pukanie i ruszanie się stołów".

Cóż może być zabawniejszego nad te poważne rozmowy osób z nogami stołowemi!

(Dok. nast).

---

# PLOTKI I NIE-PLOTKI

## WARSZAWSKIE.

### IV.

*(Ciąg dalszy.)*

Co się to działo za czasów *Szkoły głównej*, warto się było przypatrzeć, jak wszystkie prawie redakcye pism były zamurowane dla młodzieży rwącej się do pióra, pełnej ognia i nadziei.... Wieluż się to z tych odepchniętych zmarnowało!?

Należałoby zrozpaczać, gdyby się przeciw tym ciężkim stosunkom nie wyrobiła reakcya, czyli gdyby się przeciw tej reakcyi nie wytworzyła akcya.

Maltretowana młodzież postanowiła sama założyć swój organ, i utrzymać go. I oto Adam Wiślicki, z pomocą kilku innych, założył „Przegląd Tygodniowy."

Proszę ani się zżymać, ani się gorszyć, w każdym razie idzie tu tylko o historyę, o prawdę i jasne przedstawienie rzeczy, a nie o sympatye dla dziennika i jego obecnych tendencyi, o których za chwilę pomówimy obszernie.

Założony dziennik nie mógł być inny, jak, co do zasad liberalnych, radykalnym, co do wystąpienia, śmiałym do zuchwalstwa, a co do traktowania spraw i polemiki, namiętnym. Dziennik, założony przez młodzież, musiał mieć wszystkie przymioty i wady młodości: namiętność, energię, wiarę w ideę i odwagę w zaczepkach, bo inaczej młodość nie byłaby nią, bo inaczej młodzi uczniowie *Szkoły głównej* podobniby byli do akademików krakowskich, zserwilizowanych, pozbawionych odwagi cywilnej, polujących na karjerę... I gdy zastęp młodzieży krakowskiej zapowiada w przyszłości zastęp potulnych oficyalistów na rozmaitych szczeblach społeczeństwa, młodzież *Szkoły głównej* onego czasu nie myślała o karyerach i służbie, a zatem o rozlicznych uniformach, lecz marzyła o pracach dla kraju, reformach, mających przeobrazić społeczeństwo, marzyła i działała, tak jak młodzież marzyć i działać może i umie. I jedynie dziś, jeżeli mamy garść młodych ludzi, pracujących szerzej, nie tylko dla własnej kieszeni i własnego żołądka, myślących nie tylko o sobie, jeżeli mamy niezawisłe charaktery i niezawisłe opinie w kraju, jest to mała garstka tych ludzi, którzy byli studentami pracującymi i czynnymi w owym krótkim czasie istnienia Szkoły głównej!

Jakiegoż to morderstwa na narodzie dokonywują ci, którzy młodości kładą jarzma na karki!...

Dziennik się ukazał! Wyobraźmy sobie tak nazwaną nieskazitelną powagę, przyzwyczajoną przez całe życie odbierać hołdy uwielbienia i uznania! Wyobraźmy sobie nieskazitelną powagę, przyzwyczajoną do tego, że kiedykolwiek biały

papier zaczernił się nazwiskiem powagi, umieszczano obok niego wykrzykniki zachwytu, podziwu, reklamy różnego rodzaju, ułożone w napuszyste dytyramby... Wyobraźmy sobie ową powagę trzymającą w ręku numer „Przeglądu Tygodniowego“ i czytającą na własne oczy, że nie jest nietylko powagą, ale skończonym niedołęgą!

Powaga wtedy musiała powstać, wyjrzeć oknem, czy słońce świeci, jeżeli był to dzień, lub czy czasem księżyc nie spadł na ziemię, jeżeli była noc. Niestety słońce świeciło, a księżyc ani drgnął. W świecie literackim nastał odmęt, zamięszanie, chaos... Świat się wali, ziemia się zapada!... Zdrada, zbezczeszczone proroki, hańba nad naszemi głowami... Przepowiadali zagładę imienia Polski, degeneracyę społeczeństwa, ruinę literatury... Nic to wszystko nie pomogło, „Przegląd Tygodniowy“ wychodził i każdego tygodnia rzucał po swojemu prawdę w oczy, to jest, kąsał i naigrawał się.

Publiczność niewyrobiona przyjęła nowy dziennik tylko jako skandal i tylko bawiła się nim. Poważniejsza nasza literatura po wypowiedzeniu swego oburzenia i rzucenia anatema — milczała. Lecz za to za kulisami na drodze plotek, pokątnych oszczerstw i szyderstwa, działy się pocieszne historyjki i zabawne dykteryjki.

Tak usposobienie Warszawki jak i prasy (gdyż prowincya bardzo małą odgrywa rolę), przyczyniło się do wykolejenia dziennika, tem więcej, że charakter i postępowanie głównego redaktora „Przeglądu Tygodniowego,“ mówiąc delikatnie, nie było i nie jest nieskazitelne, a to, jak wiecie, niesłychanie szkodzi nie tylko dziennikowi, ale i zasadom przez niego wyznawanym. Dziennik czytany był gorliwie, lecz mało kto ośmielił się do niego zbliżyć, z tchórzostwa i z braku sympatyi dla redaktora. Młodzi ludzie zostawieni sami sobie, od których uciekano jak od zapowietrzonych, a dziennik ich czytano jako skandal, nic dziwnego, że nie umieli utrzymać się w równowadze. Z jednej strony przekraczali granice napaści, forytując nieco podejrzane osobistości, z drugiej nie widząc poparcia dla swych zasad w kraju, szukali go co najmniej niewłaściwie, bo na Wschodzie, u postępowej młodzieży. Wprawdzie szukali poparcia nie osobistymi stosunkami, lecz ideami i sympatyą. Ponieważ jednak nie można u nas okazywać jawnie sympatyi dla postępowej młodzieży rossyjskiej, okazywali ją w ogólności dla Rossyi. A ponieważ po za caratem nie egzystuje dotąd Rossya narodowa, rząd moskiewski wziął te sympatye dla siebie, i za takie je uważa dotąd słusznie oburzona publiczność Warszawy i kraju całego.

Wprawdzie stosunki „Przeglądu Tygodniowego“ ograniczają się na kółku kilkunastu młodych ludzi i kilkuset zwolenników rozsianych po całej Polsce i Imperium rossyjskiem, lecz pismo to prenumeratorów ma blisko dwa tysiące, którzy, jak się wyrażają, lubią skandale, a uczą się powoli myśleć i wyznawać zasady tego pisma.

— Dla czegoż trzymasz to obrzydliwe pismo — pyta przyjaciela człowieczek, który byłby z pewnością reakcyonistą, gdyby umiał lub miał odwagę być czemś.

— Dla skandalu tylko, braciszku, dla skandalu — odpowiada naiwnie uśmiechnięty prenumerator „Przeglądu Tygodniowego.“

Być czemś, nie tak to łatwo, jak się zdaje. Daleko łatwiej być prezesem dozoru parafialnego we własnej parafii, a nawet prezesem towarzystwa kredytowego gubernii Płockiej, jak wiedzieć czem się jest, dalej, chcieć być czemś i nareszcie mieć odwagę głośno być czemś. Spytajcie się w wyrobionej politycznie Galicyi, ilu na stu obywateli wie, czem są, a ilu jest takich, którzy uważają za wielką zasługę i łaskę Boga, że niczem nie są, chociaż są radcami. A ilu jest takich, którzyby się nawet wstydzili być czemś, a ilu dopiero takich, którzyby głośno i jawnie powiedzieli, że są ludźmi zasad postępowych, zwanych liberalnymi.

Jeżeli u was, coście zaczęli już od 1859 roku żyć politycznie, wyrobienie polityczne jest tak wysoko zaawansowane, cóż dopiero u nas, poświęcających się dla wszelakiej sprawy, jakakolwiek ona jest, i kochających się tak czule i serdecznie, że aż kości trzeszczą od uścisków.

Uporządkujcie 40ci a choćby 20cia naszych pism, i spytajcie się ich o zasady, przekonania i pewien kierunek w przeprowadzaniu tych zasad, oprócz ogólnego patryotyzmu, czyli oporu przeciw zmoskwicaniu narodu, a odpowiedzą: Po co nam zasady, gdy my musimy wytrwać na stanowisku. I oprócz „Gazety Warszawskiej,“ otwarcie postępowej i „Przeglądu Tygodniowego“ otwarcie radykalnego, wszędzie panuje wielka zgoda co do braku wszelkich zasad. Bo jeżeli „Wiek“ bawi się w utylitaryzm, to chyba tylko tem go manifestuje, że ogłasza drukiem rozpisanie rządowych licytacyi, czego inne dzienniki nie robią.

Jednym z głównych współpracowników „Przeglądu Tygodniowego,“ a pewno najgłówniejszym jest pan Świętochowski, występujący jako pisarz dramatyczny pod pseudonimem Okońskiego. Znacie pewno jego „Niewinnych“ na scenie, i „Ojca Makarego“ w wydaniu, gdyż to u was, zdaje się w Krakowie, narobił dużo hałasu o nic. Nie można zaprzeczyć panu Świętochowskiemu talentu, wskutek maltretowania go przez literatów warszawskich nieco wykolejonego, czy to przez zbyteczną dumę, czy też przez pogardę, pochodzącą z przeświadczenia o swej potędze i sile. W każdym razie ten, ktoby chciał porównywać „Niewinnych“ z „Nietoperzami,“ zrobiłby krzywdę Świętochowskiemu za dobór porównania, i Lubowskiemu za odwagę porównania. Mimo to powaga Edward Lubowski, uniwersalny geniusz Warszawy, a specyalny krytyk teatralny w „Bluszczu,“ wystąpił i z krytyką „Niewinnych“ w temże piśmie. Po wypisaniu różnych rzeczy w paruset wierszach odzywa się między innemi w tym sensie:

— „Mój panie autorze „Niewinnych,“ po co nam zawracasz głowę (po warszawsku nogę), jakimiś systematami filozofii. Najlepsza filozofia: kochaj bliźniego jak siebie!“... — Widać, że uniwersalna wielkość nie jest filozoficzną wielkością, a filozofię traktuje w tym samym tonie, co organista mej parafii, który mi na propozycyę urządzenia szkółki parafialnej odpowiedział:

— Ej co tam Wny panie, szkoły i nauki, Bóg jest wielki, a dusza nieśmiertelna i basta. Ej po co się to uczyć, gdy te dwa święte słowa razem wzięte do kupy, są całą filozofią i mądrością.

Przy końcu recenzyi „Niewinnych“ tak konkluduje Lubowski swe opinie: „Już to samo dowodzi o pewnym talencie autora, żeśmy mu poświęcili tyle miejsca i czasu...“ Wielkość talentów autorów dramatycznych jest w geometrycznym stosunku do miejsca i czasu poświęconego im przez Lubowskiego w recenzyach. W każdym razie Lubowski miał racyę, Okoński musi mieć jakiś talent, jego „Niewinni“ mają pewną wartość, lecz żeby się śmiały równać z „Nietoperzami“ — nigdy! albowiem „Niewinni“ po parokrotnem przegraniu w teatrze warszawskim, pogrzebane zostały w falach zapomnienia, a „Nietoperze“ żyją do dziś dnia, bo nawet na uczczenie Matejki, króla sztuki, Teatr Rozmaitości wystąpił z „Nietoperzami!“ A teraz znając „Nietoperzy“ i „Niewinnych,“ łatwo sobie można wyrobić pojęcie o przeciętnym smaku artystycznym naszej Warszawki.

Przed dwoma miesiącami p. Aleks. Świętochowski napisał i wydał książkę pt. „O powstawaniu praw moralnych,“ rzecz napisana śmiało i oryginalnie. Na wiele poglądów możnaby się z autorem w tej pracy nie zgodzić, lecz niepodobna nie cenić w niej unikatowej u nas oryginalności i śmiałych kombinacyi.

W jednym z ostatnich numerów „Niwy“ występuje po raz pierwszy p. Witold Pronaszko, i niezbyt naukowo-krytycznie nicuje „Powstawanie praw moralnych,“ zarzucając autorowi brak języka naukowego, analizy, i, i brak wiary w osobową nieśmiertelność duszy.

Świętochowski rozdrażniony, a dumny i nerwowy odpisał p. Pronaszko w „Przeglądzie Tygodniowym“ nazywając go *niejakim* Pronaszką, osłem i fałszerzem jego myśli, na co znów pan Pronaszko oburzony za nazwę *niejakiego*, odpowiada piorunami, i pioruny te drukuje na okładce 70go zeszytu „Niwy.“

Dotąd żadne pismo nie wystąpiło z poważną krytyką, poważnej (choć nie bez wad) pracy, zostawiając Teologii i spowiednikowi niewiarę autora w nieśmiertelność duszy. Gdyby też kto chciał Spinozę, Kanta, Schlegla, Hegla, Comte'a, maltretować w naukowej krytyce za to, że nie wierzyli w osobnikową nieśmiertelność duszy, pewnoby się naraził na śmieszność. Pan Pronaszko nie naraził się, bo Świętochowski nie jest u nas powagą. Niezawisły to charakter, ambitny, zarozumiały i odważny, nawet zuchwały, zdolny i pewien swego, a młody i cięty. I nigdy już nie zostanie powagą, dla tych właśnie dodatnich cech.

Dramat Świętochowskiego „Ojciec Makary“ jest słabszym od „Niewinnych,“ a w każdym razie niemożliwy na scenę, co napisać muszę, choćby mnie za to miał ukamienować młody literat. Lecz za to mówią, że jego „Piękna,“ chociaż ekscentryczna i nieco dzika, ma być najlepszą ze wszystkich prac młodego pisarza, którego obojętność na krytyki zdradza dużo sił, a zuchwalstwo odwagi.

Mimo to, powtarzam, p. Świętochowski nie miał żadnego uznania w szerszych kołach naszej literatury, bo dziś już go mieć nie może!

(Dok. nast.)

---

# POGADANKI O WŁOSZECH.

Kto przed dwudziestu laty zwiedzał Włochy, rozdrobnione w maleńkie księstwa, burzliwe republiki, tyraniczne królestwa, lub jęczące pod uciskiem dawnych najezdców, dziś w przyjacół zmienionych, w przedajności i ciemności; pozbawione samoistności, niezbędnej do rozwoju życia publicznego, nauk, sztuk i przemysłu; owe Włochy, tradycyonalnych „lazzaroni“ nad błękitną Neapolitańską zatoką w słońcu się grzejących bezczyn-

nie; szachrajowatych obleśnych przewodników, „servi di piazza“, albo inaczej „ciceroni“ zwanych, co zastępowali wówczas drukowanych Bädekera i Murraja, okłamując i obdzierając podróżnych; brudnych, straszliwie odartych czasami, kłótliwych furmanów, najętych „vetturini“, wrzeszczących, targujących się o każdy grosz z chciwością naszych żydów, choć się zaklinali na Madonnę i wszystkich świętych; i z tych to Włoch wywiózł wspomnienia tego wszystkiego, z dodatkiem cuchnącego jadła na oliwie, niesłonego ciężkiego chleba i cierpkiego jak kwas pruski wina; ten wyobrazić sobie nie może i nie zechce jak olbrzymim krokiem wolne, zjednoczone Włochy, postępują na drodze rozwoju, porządku i bezpieczeństwa. Brudny, pół nagi „lazzaroni“, żyje już tylko w podaniu, któremu młode podrastające pokolenie z trudnością wierzyć będzie; natrętny „servo di piazza“, porządnie ubrany, nie pokazuje się tylko w drzwiach hotelu zawołany dla usługi i wygody turysty, cichy, choć zawsze nieco kłamliwy; kłótliwego „vetturino“, zastąpiły koleje żelazne, przecinające kraj cały we wszystkich kierunkach, których co dzień nowe linie do użytku publiczności otwierają się nieodłącznemi mowami panów ministrów prac publicznych i spraw wewnętrznych, i mnogiemi toastami na cześć wolnych Włoch i ich króla-szlachcica, Wiktora Emanuela IIgo. Ale czyje oko i w owych czasach spoczywało miłośnie na żyznych równinach Po i Brenty, na śnieżystych szczytach południowem słońcem ubarwionych w poetyczną krasę Alp piemonckich; kto oddychał wonią róż i jaśminów słodkiej Etruryi, słuchał jej dźwięcznej jak śpiew ptasząt mowy, lub przejeżdżał owym brudnym choćby „veturino“ przez dolinę księstwa Lukki, gdzie wieńce winnej latorośli namiętnie obejmują w swe wiotkie ramiona morwy i brzoskwinie, a ziemia jednym ogrodem się wydaje; kto błądził wśród pysznych pałaców i zbiorów stolicy Toskanii, królowej kwiatów, Florencyi, lub ciekawością artysty wiedziony, odwiedzał liczne wszędzie porozrzucane dzieła pędzla i dłuta; od oblubienicy Dożów Wenecyi począwszy, zatrzymywał się w Padwie, podziwiając freski zwiastuna późniejszych znakomitości 16go stulecia wdzięcznego Giotta, lub rzeźby Sansovina, w Weronie ojczyźnie Romea i Julii, z tym smętnie pięknym anfiteatrem rzymskim; dojechał do wesołego Medyolanu, siedziby muzyki, literatury dzisiejszej i słodkich „ponettoni“ czyli bułek na drożdżach, ztamtąd zwiedził cudne jezioro Como, Lugano, pyszne Lago Maggiore, o którem Jan Paweł Richter śnił w jasnowidzeniu, ze swymi wyspami woni pełnymi i kolosem św. Karola Boromeusza; wstąpił do schludnego ożywionego jak mały Paryż Turynu, wiernego przyjaciela Sabaudzkiej dynastyi, przez liczne tunele i ryżowe pola dostał się do wspaniałej Genui, ze swą błękitną zatoką i murowanemi pałacami, potem wsiadł na statek prujący ciche, szemrzące fale Tyreńskiego morza, pozdrawiając w przebiegu śliczne zielone wzgórza i liczne porozrzucane na nich bielejące lub różnobarwne miasteczka; rzucił okiem na wdzięczną w głębi zatoki swej usiadłą Spezię; odwiedził handlowe choć bez żadnych starożytności, ale dosyć ruchliwe Livorno, przez starą smętną błotnistą równinę wjechał do obumarłej Pizy, aby oglądnąć jej krzywą wieżę, harmonii i smaku pełną katedrę wśród cichego odludnego placu stojącą, przebiegł po szerokich korytarzach starego cmentarza, gdzie świecą freski Oreagni i Benozzo Gozzoli, wonieją fiołki na opuszczonych grobach rozmawiając wonią z duchami zmarłych; a nie miał czasu tylko przelotem spojrzeć na Lukę, murami opasaną jak ciasnym paskiem kibić otyłej szlachcianki podolskiej za szczupłą chcącej uchodzić. Bolonią ze swemi arkadami od słońca i deszczu chroniącemi i pinakoteką zawierającą obok arcydzieł szkoły tamtejszej, przesławną św. Cecylię, mistrza nad mistrzami Urbińskiego Rafaela, Modenę, Ferrarę, Ravennę, Ankonę, w których zatrzymać się choćby na krótko potrzeba, uwielbiać piękność natury, sztuki i wspomnienia wielkości, kto w tej ostatniej dumał przed kościołem św. Ciriaka, o którego podnóża z głuchym jękiem obijają się fale Adryatyku, nucąc hymn pochwalny Stwórcy, wstąpił uklęknąć do cudownego łaskami Loreto; nad morską jednostajną nieco drogą puścił się do Rzymu, lub powrócił do Florencyi na zimową siedzibę, i na wielki tydzień dopiero zamyśliwszy zdążyć do stolicy świata, przebiegł bogatą Umbryę, ojczyznę Rafaela, owe dziwne do gniazd orlich na szczytach skał przytwierdzonych podobne miasteczka, w których wszędzie starannie przechowują się niewyczerpane skarby malarstwa i ceramiki, jakby nad niemi czuwał duch opiekuńczy boskiego Sanzia; a nakoniec wjechał do Rzymu, by tam z bijącem sercem, rozgorączkowaną głową, dnie trawił; patrzał na rozwijające się przed jego okiem dzieje starożytnych światów; nocami śnił o wspaniałości tryumfów, zbrodnie mocarzy, walki o wolność, i tryumf jedności; przeżywszy w swej duszy wieki zachwytu, zapragnął ciało ukoić rozkoszami lubieżnej Partenopy, z godową pochodnią Wezuwiusza, kąpiącą nogi w lazurach, a głowę w zieleni bujających winnic; z kochanką marzył w grocie tajemniczej Capri; na grobie Wirgiliusza rozpamiętywał o laurowych wieńcach i znikomościach tego świata; w Pompei greckim żywotem odżywał; a w Sorrento jednym z bogów Olimpu pełnego woni, blasku i namiętności sam sobie być się wydawał. Nie lękając się brygantów do Sycylii, ojczyzny słodkich win i kwaśnej opozycyi, pociągnął, z obawą o kieszeń, jeżeli nie o życie, i tam ze szczytu śnieżnego Etny zaglądał w jej płomieniste łono, w Palermo, Messynie, Kolonii, o nieco Maurytańsko Kastylijskich budynkach, potęsknił za cywilizacyą, brukującą na owej pysznej wyspie; ten wspomni o dawnych Włoszech z przyjemnością, choć zapewne wiele... ale... gdyby... do ust mu się cisnąć nie omieszka.

Trzeba jednak nie tylko główne miasta drukowanemi przewodnikami wskazane, i znaczkami opatrzone ciekawości oglądać, aby poznać, wniknąć w duch ludu; trzeba dłuższego czasu, znajomości nietylko włoskiego języka ale rozmaitych narzeczy, któremi mówi lud prosty równie jak i wykształcone towarzystwo we wszystkich prowincyach, czasami niesłychanie odmiennemi, ale wybornie charakter, pochodzenie, naturę ludu używającego je, wskazującemi; trzeba się wkraść do serc i wnętrz ich wiejskich i miejskich mieszkań, nieraz szczelnie dla cudzoziemca zamkniętych, i tylko zbiory swe na ich usługę otwierających; zespolić z ich działaniami; podzielać zły i dobrą dolę; chwalić jeżeli zasługują, nie służalczo ale serdecznie; ganić, nie z pogardą ale przyjaźnie wskazując błędy i usterki; aby poznać Włochy, życie, obyczaje różnorodne ich mieszkańców; i ocenić cały, szybki postęp, jakby dziecięcia, co od razu z pieluch w młodzieńca w ciągu jednej nocy wyszło.

Są tu typy fizyczne i moralne najprzeróżniejsze; od pieszczotliwego Wenecyanina począwszy, masz poważnego Medyolańczyka; arystokratycznego Turyńczyka; wolnomyślnego Genueńczyka; ospałego Pizańczyka; żydowskiego Livorneńczyka; ciekawego mieszkańca Luki; flegmatycznego jak Niemiec Bolończyka; krwawego obywatela Ravenny i Ankony; mistyczne dziecię Perugii; dumnego Rzymianina; rozwiązłego Neapolitańczyka; i półdzikiego w kozią skórę jak Sylvan obwiniętego Sycylijczyka.

Znajdziesz tu wszelkie odcienia płci, włosów, oczu; rozmaitość kształtów ciała i wzrostu. Wenecyanin, mały, ruchliwy, o kędzierzawym włosie i lubieżnych ustach; płeć męska nie znajduje przedstawicieli klasycznych piękności, ale za to kobiety są pełne wdzięku i wyniosłości myśliwskiej bogini Dyany. Medyolan, przeciwnie, posiada pięknie zbudowanych, czarnookich i czarnowłosych z bladą, jednostajnej, nieco woskowej barwy twarzą; kobiety najczęściej pulchne jeżeli nie okrągłe jak beczułki śledzi, mają również piękne, wielkie oczy czarne i obfite krucze warkocze, świeże koralowe usta, chód jednak ciężki, ręce i nogi za szerokie i za duże. Turyńska ludność nie grzeszy pięknością; kobiety są składne ale nie piękne, szykowne, przymilające i wesołe; mężczyźni niezgrabni, ociężali, z dobrodusznemi rumianemi policzkami i ciemnemi ostremi włosami. Genua słynie pięknością swych kobiet, małego najczęściej wzrostu, ale cudnie harmonijnych form, wymownych tęsknych oczu, świeżej delikatnej jak kitki róży płci, drobniuchnych rączek i nóżek; za to ich ojcowie, bracia i mężowie, robią wrażenia czarnych duchów strzegących pełnego wrót raju hurysek czy zajęcia handlowe nie dają im czasu myśleć o sobie tylko przelotnie, czy też myślą o handlu dla tego, że im się nie uśmiecha inna piękność form, oprócz dobrze wyładowanych worków bawełny? Florencya odznacza się dziwnie mięszanymi, podupadłymi, mieszkańcami; jakby nie w wonnej, pełnej zieleni i barwy stolicy się urodzili, ale gdzieś wśród dymu fabryk saksońskich świat ujrzeli; spotykasz tam nie rzadko krzywe nogi, obrzękłe wargi, zaczerwienione oczy; zapomniałbyś, że jesteś we Włoszech, gdyby nie ich uprzejmość i grzeczność uprzedzająca. Rzym posiada dwa odrębne typy, z jednej i drugiej strony Tybru; jasnowłose mieszkanki pod-Tarpejskich regionów, i czarnowłose muskularne pod-Watykańskie dziewice; w pierwszych, złocisty odblask długich warkoczy mówi o zwycięzonem pochodzeniu potomków Arminiusza i przypomina córy północy; drugie namiętne jak bachantki i jak one rozkoszne; mały, skurczony, blady, rudy pod-Kwirynalski chłopak, jest zupełnie niepodobnym do smukłego, silnego i śmiałego Trastewerina. Na pół grecki, jakby nie zapomniał ojczyzny, w której brał początek Neapolitańczyk, giętki jak kot, żółty jak pomarańcza, z ptasim dzióbem zamiast nosa, a szerokiemi jak w masce satyra ustami, nie zdaje się być bratem dużego, chudego, milczącego Sycylijczyka, kobiety zaś tam i tu greckie posągi przypominają, pięknemi kształtami i czystością rysów. (C. d. n.)

# TELEFON.

## ODCZYT PUBLICZNY

### BRUNONA ABAKANOWICZA,

*miany dnia 16. grudnia 1877 w głównej sali laboratoryum chemicznego lwowskiej szkoły politechnicznej.*

*(Dokończenie).*

**Nie można sobie wyobrazić mniej skomplikowanego aparatu telegraficznego. Mała blaszka**

żelazna drga, gdy się w jej bliskości mówi, jej powierzchnia przyjmuje kształt falisty, odpowiadający najzupełniej wszystkim zmianom, które w dźwiękach mowy ludzkiej zachodzą. Wskutek tego w drucie otaczającym magnes powstają prądy zmieniające się co chwilę, przebiegają na drugą stacyę i tam działając odwrotnie, wywołują drganie blaszki, która się wygina bez przerwy i przyjmuje takie kształty jak na stacyi wywołującej dźwięki.

Do rozmawiania za pomocą telefonu nie trzeba żadnego szczególnego przepisu. Mówi się głosem zwykłym bez wysilenia i w dobrych przyrządach nawet szept jest słyszanym. Należy to do szczególności przyrządu, że stosunkowo cichsze dźwięki łatwiej się niż głośne przenoszą. Krzyczenie wcale nie pomaga, tylko podwyższenie tonu i dla tego też głosy kobiece są zwykle lepiej słyszane.

Odległość, na którą za pomocą telefonów rozmawiać można, nie jest jeszcze dokładnie wypróbowaną, zależy ona od dokładności budowy przyrządu i od dokładnego izolowania drutów. W Warszawie robiono próby między stacyą kolei warszawsko-wiedeńskiej a Skierniewicami a we Lwowie rozmawiano ze Stryjem. Niedawno też wykonano próby na linii podmorskiej, łączącej brzeg angielski z francuskim, pomiędzy Douvrem i Calais. Podczas prób dwugodzinnych nie było żadnej przerwy w komunikacyi, mimo że po tej samej linii przesyłano jednocześnie telegraficzne depesze po trzech innych drutach.

Przyszłość telefonu jest wielką, szczególniej jeśli się da go tak ulepszyć, żeby dźwięki były głośniejszemi. Główną jego zaletą jest to, że działa bez pomocy bateryi elektrycznej, co ułatwia niezmiernie jego zastosowanie, szczególnie do komunikacyi domowej. Na większą skalę zastosowano go w kopalniach węgla.

W podziemnych kurytarzach takich kopalni potrzebnem jest ciągłe dostarczanie powietrza do wentylacyi, które tam wpychają machinami. Dla mierzenia ilości wpychanego powietrza ustawione są na dole anemometry, które obracająsię z prądem wciskanego powietrza i z ilości ich obrotów wnioskuje się o ilości dostarczonego powietrza. Otóż bardzo byłoby wygodnem, gdyby na powierzchni można było znać dokładnie ilość obrotów anemometru w danej chwili. Dla osiągnięcia tego celu, zastosowano telefon. Anemometr był tak urządzony, że za każdym dziesiątym obrotem uderzał o mały drążek żelazny, który drgać wtedy zaczynał w obecności magnesu w telefonie zawartego. (Blaszka żelazna została z telefonu usuniętą a jej miejsce zastępował ów drążek). Każde takie drganie doskonale słyszeć można było na powierzchni ziemi i w ten sposób kontrolować liczbę obrotów anemometru.

W Ameryce stał się już telefon zwykłym przyrządem domowym; tysiące domów i hotelów nowojorskich są nim zaopatrzone. Szczególniejszego rodzaju zastosowanie dano telefonowi w mieście Providence w stanie Rhode-Island. Na ulicach tego miasta lampy gazowe są tak urządzone, że się wszystkie zapalają i gasną jednocześnie Ściśnione powietrze przesyłane od głównej stacyi wypełnia mechaniczną funkcyę zamknięcia lub też odwarcia gazu, a elektryczność zapalacza. Wszystkie latarnie są naturalnie w tym celu połączone z główną stacyą gazową drutami elektrycznemi. Otóż te druty używają się jednocześnie do telegrafowania w wypadkach pożaru lub wogóle w celach policyjnych. Każdy policeman może w danej chwili skomunikować się z odpowiednim zarządem cyrkułu. W tym celu każdy policeman ma osobny przyrząd elektryczny do dawania sygnałów, który nosi przy sobie i w danym wypadku wstawia go w obręb drutu łączącego latarnie i sygnalizuje, wołając o pomoc lub też w innym jakim celu. Otóż na miejscu dawnych aparatów telegraficznych zaprowadzono obecnie telefony, w które każdy policeman jest zaopatrzony. Skoro więc zachodzi potrzeba porozumienia się, otwiera małą szafeczkę umieszczoną na słupie latarniowym, przyczepia druty do telefonu i może rozmówić się w dowolnie obranym kierunku.

Próbowano już także zastosować telefon do porozumiewania się z nurkami, którym wkładano telefon do maski otaczającej ich głowę. Próby i tutaj udały się doskonale. Nurek mógł doskonale porozumiewać się z osobami, znajdującemi się na powierzchni morza, i opowiadać o tem co naokoło siebie widzi i w ten sposób dawać wskazówki co do ruchu liny, na której jest zawieszony.

Telefon, pomimo swej prostoty, nosi na sobie cechy długich i pełnych trudu poszukiwań. Tworzy on nową erę w telegrafii, i jakeśmy widzieli, nawet w formie, którą obecnie posiada, oddaje już niepośledne usługi. Jednak to są pierwsze kroki, które nowy przyrząd stawia na drodze praktycznej. Jaką w przyszłości grać będzie rolę o tem obecnie sądzić nie możemy. Pamiętajmy tylko o tem, że jest on jeszcze w pieluszkach, że dopiero kilkanaście miesięcy, jak coś o nim wiemy i że co chwila dochodzą wieści o jakiemś nowem zastosowaniu lub ulepszeniu. Jesteśmy jak najmocniej przekonani, że się skoro tylko uda wzmocnić znacznie głos telefonu, po wszystkich krajach zaczną urządzać stacye telefoniczne, ma bowiem ten przyrząd za sobą niezmiernie ważne zalety: prostotę, taniość, łatwość utrzymania w porządku, szybkie komunikowanie się i to, że każdy bez przygotowania może go używać.

* * *

Na zakończenie pozwolimy sobie podać kilka wiadomości o nowych ulepszeniach i wynalazkach, które są w ścisłym związku z telefonem Bella. Pan Trouvé przedstawił niedawno paryzkiej akademii ulepszony telefon własnego pomysłu. Jego wynalazek polega na wzmocnieniu prądu wywoływanego drganiem blaszki telefonicznej. Bell, jakeśmy to opisali, używał jednej tylko cienkiej blaszki żelaznej drgającej wobec magnesu. Trouvé zastosował pięć blaszek umieszczonych w kształcie sześcianu bez jednej ściany. Każda z nich drży pod wpływem jednej i tegoż samego głosu wobec stałego magnesu, okręconego drutem izolowanym. Wskutek tego prądy elektryczne są znacznie wzmocnione i można je przesyłać na daleko większą odległość. Zamiast pięciu, możnaby zastosować znacznie większą ilość blaszek i w ten sposób wzmocnić dowolnie działalność telefonu.

Jednocześnie prawie z wiadomością o odkryciu telefonu Bella, pojawiło się kilka innych z których na szczególną uwagę zasługuje telefon znanego pracownika i wynalazcy na polu elektryczności, Tomasza Edisona z New Jersey. Podobnie jak wszystkie inne telefony, z wyjątkiem mówiącego Bella, telefon Edisona służy tylko do przesyłania tonów muzycznych, i wykonywa to, podobnie jak Reiss, o ktorym poprzednio mówiliśmy za pomocą szybkiego przerywania prądów elektrycznych. Wysyłacz Edisona jest zupełnie podobnym do Reissowskiego i nie potrzebujemy go bliżej opisywać. Z niego wychodzą przerywane prądy elektryczne i przenoszą się na drugą stacyę do odbieracza, który jest nadzwyczaj oryginalnie pomyślanym i różni się od wszystkich dotychczasowych. Opiera się on na dziwnem odkryciu p. Edisona, że papier zmoczony pewnemi substancyami chemicznemi, jak np. siarczanem sody, nabiera oryginalnej własności, gdy jest wystawiony na działanie prądu elektrycznego. Jeżeli kawałek w ten sposób zmoczonego papieru położymy na metalowej tabliczce i przyciśniemy doń ostrze platynowe, to będziemy czuli pewien opór przy przesuwaniu ostrza po papierze. Jeżeli zaś tabliczkę metalową połączymy z jednym a ostrze z drugim biegunem bateryi elektrycznej, tak że prąd przez papier przebiegać będzie, to zauważymy, że papier stanie się pod ostrzem bardzo śliskim i że tarcie będzie prawie zupełnie zmienionem i że to ostrze będzie się po nim ślizgać jak łyżwa po lodzie. Podczas przebiegu prądu tarcie ustaje prawie, gdy prąd przerwany wraca napowrót.

Otóż odbieracz Edisona składa się z metalicznego wałka, który może być obracanym za pomocą korby. Powierzchnia tego wałka jest szorstka, w celu lepszego przytrzymania papieru preparowanego chemicznie, którym ten wałek zawinięty. Przy kręceniu korbą papier rozkręca się z wałka. Obok tego wałka stoi pudełko rezonansowe z napiętą błoną, do której jest przymocowane ostrze platynowe. Ostrze to jest ze znaczną siłą przyciskane do wspomnianego wyżej papieru na wałku, za pomocą sprężyny. Cały ten przyrząd jest tak połączony z drutem idącym od wysyłacza, że prąd przebiega przez sprężynę, ostrze platynowe, papier a potem wałek, wracając potem do wysyłacza przez ziemię. Przy odbieraniu depeszy, obraca się szybko korbą, przyczem ostrze posuwa się po papierze. W chwili gdy prądu nie ma, tarcie jest znacznem i ostrze jest przez papier naprzód ciągniętem, w chwili gdy prąd przebiega tarcia nie ma i ostrze pozostaje na miejscu. Wskutek tego następują drgania ostrza, a razem z nim i pudełka rezonansowego, które odpowiadają przerwom prądu. Pudełko drgać zaczyna i dalsza czynność aparatu jest łatwą do zrozumienia.

---

## TO BARDZO BYĆ MOŻE!

Świat jest głupi, daję słowo;
Dziwią się w gazecie,
Że jakiś profesor głową
Wsławił się na świecie.
Ja jeszcze przed ośmiu laty
Bywałem faktorem,
A dziś mam milion intraty,
I dziesięć wsi z borem.

Bo proszę, niech mi kto powie
Co to jest nauka?
Mówić to, co siedzi w głowie!
To nie wielka sztuka!
Niech sobie co chcą gadają,
A trudniejsze role
Tych, co niby rozum mają,
Wyprowadzić w pole.

Pisać książki! wielka heca!
Człowiek pióro bierze,
I usiadłszy koło pieca,
Jeździ po papierze.

Ja, ja gdzie się tylko ruszę,
To mam ciężką pracę;
Ja wszystkich oszukać muszę,
Bo inaczej tracę!

Uczony! co mi uczony!
Co po tej robocie?
Czy on ma choć dwa miliony?
Albo jakie krocie?
Za co sławny? że naskrobie
Tom jakichś oracyi?
Ja sto tysięcy zarobię
W jednej licytacyi!

Czy on ma choć dwa pałace,
Takie jak ja cztery?
Złote wazy, srebrne tace,
I kamerdynery?
Ja jego widział z wytartą
Na łokciach kapotą;
Z nim nawet gadać nie warto!
On chodzi piechotą!

Aj! aj! kto go taki chwali?
Kto taki? kto taki?
Oni chyba zwarjowali
Te wszystkie pismaki!
Mnie sam pan minister przecie
Kłania się i ściska,
A nigdy nie ma w gazecie
Mojego nazwiska!

Ach! jakby to miło czytać,
Goldberg! i pochwały!
Ztąd nawet dałby się schwytać
Czasem zysk nie mały.
Muszę posłać trzy tysiące
Na kraj wygłodzony;
Zaraz będą pisać brzmiące
O mnie fejletony:

Że jestem pełen zasługi,
Wielki i ofiarny;
Potem znów dam, raz i drugi...
Będę popularny!
I może być, to się zdarza,
Aj! daj panie Boże!
Że zrobią ze mnie cesarza!
To bardzo być może!

*M. Rodoć.*

---

# HEKTOR SERVADAC

## PRZYGODY W PODRÓŻY

### PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

**JULIUSZA VERNE'A.**

---

### CZĘŚĆ PIERWSZA.

*(Ciąg dalszy).*

### ROZDZIAŁ XX.

*Zmierzający do udowodnienia, że wpatrując się dobrze, zawsze można dostrzedz ogień na horyzoncie.*

Na drugi dzień, 6 marca, nie zajmując się badaniem tego, w co wierzył, a w co nie wierzył Izaak Hakhabut, kapitan Servadac dał rozkaz przeprowadzenia *Hanzy* do portu Chelifu. Żyd zresztą nie zrobił żadnej uwagi, ponieważ przeniesienie to statku zabezpieczało jego interesa. Ale miał nadzieję potajemnie podmówić dwóch lub trzech majtków z galioty i z nimi dostać się do portu algierskiego, lub jakiegokolwiek innego.

Wobec nadchodzącej zimy wzięto się bezpośrednio do roboty, co zresztą ułatwiała większa siła muskularna, jaką pracujący rozwinąć mogli. Przywykli już oni do fenomenu słabszej atrakcyi, jak również i do mniejszego ciśnienia powietrza, co przyspieszało ich oddech, i nie dostrzegali już nawet tego.

Więc Hiszpanie, tak samo jak i ludzie z galioty z zapałem wzięli się do dzieła. Zaczęto urządzać na potrzeby małej kolonii posterunek, który do dalszego rozkazu miał służyć za wspólne pomieszkanie. Tam umieścili się Hiszpanie; marynarze pozostali na galiocie, a żyd na pokładzie swego statku.

Ale statki i domy kamienne mogły być tylko pomieszkaniem tymczasowem. Potrzeba było przed nadejściem mrozów znaleźć pewniejsze schronienie od zimna w przestrzeniach międzyplanetarnych, schronienie, któreby było ciepłem samo przez się, ponieważ temperatura nie mogła być podniesioną z braku paliwa.

Tylko jamy głęboko wykopane w ziemi mogły dać dostateczny przytułek mieszkańcom wyspy Gurbi. Gdy powierzchnia Galii pokryje się grubym pokładem lodu, substancyi będącej złym przewodnikiem ciepła, można było spodziewać się, że temperatura wewnętrzna jam takich utrzyma się na znośnym stopniu. Kapitan Servadac i towarzysze jego wiedliby więc życie troglodytów, ale nie było wyboru.

Na szczęście nie znajdowali się w takich warunkach, jak podróżni lub marynarze zajmujący się połowem wielorybów na wodach polarnych. Tamtym najczęściej brak gruntu pod nogami. Żyją oni na powierzchni zamarzniętego morza i w głębiach jego, nie mogą szukać schronienia przed zimnem. Albo pozostają na okrętach, lub też wznoszą budynki z drzewa i śniegu; w każdym jednak razie źle są zabezpieczeni przeciw wielkiemu zniżeniu temperatury.

Tu, na Galii, przeciwnie, grunt był trwały i chociażby musieli kopać sobie pomieszkania o kilkaset stóp niżej poziomu, zawsze mogli mieć nadzieję wytrzymania tam największego spadku kolumny termometrycznej.

Więc roboty zostały bezzwłocznie rozpoczęte. Łopat, kilofów i tym podobnych narzędzi, jak wiadomo, nie brakowało, a pod kierownictwem Ben-Zufa hiszpańscy *majos* i marynarze z galioty energicznie pracowali.

Ale zawód spotkał pracowników i inżyniera Servadac zawiadującego nimi.

Miejsce wybrane do wykopania jamy położone było po prawej stronie posterunku, gdzie grunt tworzył pewne wzniesienie. Pierwszego dnia wyrzucanie ziemi odbywało się bez trudności, ale doszedłszy do głębokości ośmiu stóp, pracownicy natrafili na substancyę tak twardą, iż narzędzia ich nie mogły dać sobie z nią rady.

Hektor Servadac i hrabia, zawiadomieni o tem przez Ben-Zufa, poznali w tej substancyi nieznaną materyę tworzącą także brzeg morza Gallickiego i jego grunt podwodny. Widocznem było, że tworzył on również podstawę Galii. Nie było więc możności kopania dalej. Być może, iż i zwykły proch nie zdołałby rozsadzić tej masy, twardszej od granitu, potrzebaby chyba użyć dynamitu, by dać sobie z nią radę.

— Do licha! — zawołał kapitan Servadac — cóż to za minerał? jak to być może, ażeby kawałek starego naszego globu utworzony był z materyi, której nie możemy nazwać.

— To jest nie do wytłumaczenia — odrzekł hrabia; — a jeżeli nie zdołamy wykopać sobie siedzib pod ziemią, to śmierć nie ominie nas rychło!

W samej rzeczy, jeżeli cyfry, wynikające z obrachowań, były dokładne, i jeżeli odległość Galii od słońca stopniowo zwiększała się, to według praw mechaniki, Galia powinna była w tej chwili być odległą na sto milionów mil od niego, odległość ta była prawie równą trzykrotnie wziętej odległości ziemi od słońca, gdy przechodzi przez swe ophelium. Łatwo zatem zrozumieć o ile i ciepło i światło słoneczne musiało być z tego powodu zmniejszone. Prawda, że wskutek położenia osi Galii, tworzącej kąt na dziewięćdziesiąt stopni z planem jej orbity, słońce nie oddalało się nigdy od swego równika, i że wyspa Gurbi, przez którą przechodziła paralela zero, wyrównywała sytuacyą. W tym pasie lato było dla niej w stanie bezustannym, ale oddalenie jej od słońca nie mogło być wynagrodzone i temperatura ciągle spadała. Już między skałami utworzył się lód, ku wielkiemu zdziwieniu małej dziewczynki, a wkrótce pewno i całe morze zamarznie.

Owoż przy zimnie, które z czasem mogło przekroczyć sześćdziesiąt stopni stustopniowych, przy braku odpowiednich pomieszkań śmierć była nieuniknioną. Termometr jednak trzymał się jeszcze średnio na sześciu stopniach niżej zera, a piec urządzony w posterunku pożerał drzewo, ile go było, bardzo mierne wytwarzając ciepło. Nie można było zatem liczyć na ten rodzaj paliwa i należało znaleść inne schronienie, któreby zabezpieczało od spadania temperatury, gdyż wkrótce pewno zamarzać będzie rtęć, a może i alkohol w termometrach!

Co do *Dobryny* i *Hanzy*, to jak już powiedziano, oba te statki nie były wystarczające przy zimnie tak ostrem. Nie można było zatem myśleć o zamieszkaniu na nich. Zresztą, kto wie, co się stanie z tymi statkami, gdy lody się natłoczą dokoła w masach ogromnych?...

Gdyby kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop, byli ludźmi łatwo upadającymi na duchu, to mieli teraz potemu dobrą sposobność. Bo w samej rzeczy, co mogli wymyśleć, gdy szczególna twardość pokładów gruntu sprzeciwiała się przekopywaniu jam?

Tymczasem okoliczności nagliły bardzo. Pozorne rozmiary kręgu słonecznego coraz bardziej zmniejszały się wskutek oddalenia. Gdy przechodziło przez zenit, prostopadłe promienie jego wytwarzały jeszcze pewne ciepło, ale w nocy zimno bardzo żywo dawało się uczuwać.

Kapitan Servadac i hrabia, dosiadłszy Zefira i Galetty, przebiegali we wszystkich kierunkach wyspę, szukając jakiegokolwiek miejsca nadającego się na pomieszkanie. Dwa konie przelatywały zawady, jak gdyby były oskrzydlone. Próżne poszukiwania! W rozmaitych punktach robiono wiercenia, które niezmiennie napotykały twardą podstawę o kilka stóp pod powierzchnią ziemi. Trzeba było zrzec się mieszkania w jamach.

Postanowiono zatem, że w braku jam, mieszkańcy Galii umieszczą się w posterunku, i że osłoni się go, o ile tylko będzie można, od zewnętrznego zimna. Dany był rozkaz zbierania drzewa, suchego i mokrego, jakie wydawała wyspa i wyrąbywania drzew rosnących na płaszczyźnie. Nie było co namyślać się. Wyręb rozpoczęty został bezzwłocznie.

A jednak — kapitan Servadac i towarzysze jego wiedzieli o tem dobrze — nie mogło to wystarczyć. Paliwo takie rychło wyczerpałoby się. Oficer głównego sztabu, w najwyższym stopniu zaniepokojony, nie okazując tego, przebiegał wybrzeże i powtarzał:

— Środek! środek!

Potem, zwróciwszy się jednego dnia do Ben-Zufa, — powiedział:

— Do wszystkich dyabłów! czyż nie masz jakiego pomysłu?

— Nie mam, panie kapitanie — odrzekł ordynans, a potem dodał: — O! gdybyśmy byli na Montmartre! Tam są prześliczne pieczary już gotowe!

— Ależ, cymbale — odparł kapitan Servadac — gdybyśmy byli na Montmartre, nie potrzebowałbym twoich pieczar!

Tymczasem sama natura miała dostarczyć kolonistom niezbędnego przytułku dla walczenia z zimnem. Oto w jakich okolicznościach zapowiedział się im on.

Dnia 10 marca porucznik Prokop i kapitan Servadac zwiedzali południowo-zachodni kraniec wyspy. Idąc, rozmawiali o strasznej ewentualności, jaka w przyszłości ich oczekiwała. Rozprawiali z pewnem ożywieniem, nie będąc jednego zdania pod względem zapobieżenia tej klęsce. Jeden upierał się przy tem, by do ostateczności doprowadzić poszukiwania odpowiedniego miejsca pobytu, drugi łamał sobie głowę nad wynalezieniem nowego sposobu ogrzewania pomieszkania już zajmowanego. Porucznik Prokop był za tą ostatnią kombinacyą i właśnie wyłuszczał swe motywa, gdy w tem nagle zatrzymał się w pośród argumentacyi. W tej chwili zwrócony był ku południowi i kapitan Servadac dojrzał, jak przecierał sobie oczy, niby usiłując wzrok zaostrzyć, potem znowu począł wpatrywać się z nadzwyczajną uwagą.

— Nie! nie mylę się! — zawołał. — Widzę tam światło!

— Światło?

— Tak jest, w tym kierunku!

— W samej rzeczy! — odrzekł kapitan Servadac, który także dostrzegł punkt wskazany przez porucznika.

Fakt był niewątpliwy. Światło ukazywało się na horyzoncie południowym w formie wielkiego punktu, dość jasnego, który stawał się coraz widoczniejszym w miarę jak ciemniało.

— Byłżeby to okręt? — zapytał kapitan Servadac.

— Musi to być okręt w płomieniach, — odrzekł porucznik Prokop—gdyż żadna pochodnia nie mogłaby być widzialną w takiej odległości, ani, w każdym razie, na takiej wysokości!

— Zresztą — dodał kapitan Servadac — ogień ten nie rusza się i zdaje mi się, że na obłokach powstaje niby odbicie promieni.

Dwaj spostrzegacze wpatrywali się z nadzwyczajną uwagą, jeszcze przez kilka chwil. Potem nagle rozjaśniło się w umyśle oficera głównego sztabu.

— Wulkan! — zawołał — to wulkan, który opływaliśmy, gdy *Dobryna* powracała.

I jakby natchniony — dodał:

— Poruczniku! tam jest schronienie, którego szukamy! Tam jest pomieszkanie, w którem natura wzięła na siebie wszystkie koszta opału! Tak jest! Tę niewyczerpaną gorącą lawę, wylewającą się z góry, potrafimy zużytkować na nasze potrzeby. O, poruczniku! Niebo nas nie opuszcza! Chodźmy! chodźmy! Jutro musimy być na tem wybrzeżu, a jeżeli będzie potrzeba, to pójdziemy szukać ciepła, to jest życia, w samych wnętrznościach Galii!

Podczas gdy kapitan Servadac przemawiał z takiem uniesieniem, porucznik Prokop usiłował przypomnieć sobie fakta. A naprzód istnienie wulkanu w tej stronie wydawało mu się pewnem. Przypomniał sobie, że gdy *Dobryna* powracała wzdłuż południowego brzegu Galickiego morza, długi przylądek zatamował jej drogę i zmusił do powrotu pod dawniejszą szerokość Oranu. Tam musiała opływać wysoką skalistą górę, której szczyt był osłonięty dymem. Po tym dymie widocznie nastąpił wybuch płomienia, lub rozpalonej lawy i to właśnie obecnie oświetlało horyzont południowy i odbijało się na chmurach.

— Masz słuszność, kapitanie, - powiedział,— tak jest! to wulkan i jutro zbadamy go!

Hektor Servadac i porucznik Prokop szybko powrócili do szałasu i tam tylko hrabiemu zwierzyli się z zamiaru swej wyprawy.

— Będę wam towarzyszyć — rzekł hrabia — a *Dobryna* jest do dyspozycyi.

— Sądzę, — rzekł wtedy porucznik Prokop — że galiota może pozostać w porcie Chelifu. Wystarczy parowa jej szalupa, przy tak pięknej pogodzie, dla podróży najwięcej kilkomilowej.

— Rób jak wiesz, Prokopie — odrzekł hrabia.

Jak wiele zbytkownych galiot pańskich, *Dobryna* posiadała szalupę parową wielkiej szybkości, której śrubę puszczono w ruch za pomocą małego ale silnego kotła systemu Oriolle. Porucznik Prokop nie znał natury miejscowości, po której miał płynąć, więc słusznie przeniósł ten lekki statek nad galiotę, ponieważ pozwalał mu on zwiedzać bezpiecznie najmniejsze zatoki wybrzeża.

Dlaczego też na drugi dzień, 11. marca, parowa szalupa, wzięła zapas węgla, którego jeszcze kilkanaście ton znajdowało się na *Dobrynie*. Potem wsiedli do niej, hrabia, kapitan i porucznik, i wypłynęła z portu Chelifu, ku wielkiemu zdumieniu Ben-Zufa, którego także nie wtajemniczono. Ale zresztą ordynans pozostawał na wyspie Gurbi z pełnomocnictwem gubernatora generalnego — z czego niemało był dumnym.

Trzydzieści kilometrów, oddzielających wyspę od punktu, na którym wznosił się wulkan, szybki statek przepłynął mniej aniżeli we trzy godziny. Natenczas szczyt wysokiego przylądka ukazał się cały w ogniu. Wybuch zdawał się być znacznym. Czy tlen atmosfery, niedawno uniesionej przez Galię, skombinował się z materyałami wybuchającemi z jej wnętrzności i spowodował to silne rozognienie; czy też, co jest prawdopodobniejszem, wulkan ten, jak wulkany księżycowe, podsycał się własnem źródłem tlenu.

Szalupa opływała brzegi, szukając odpowiedniego punktu do wylądowania. Po półgodzinnem rozglądaniu się, znalazła nakoniec skaliste zagłębienie pół-koliste, tworzące małą zatokę, która następnie mogła być punktem dla umieszczenia galioty i Hanzy, jeżeliby okoliczności pozwoliły sprowadzić je tam.

Szalupa przybiła do lądu i pasażerowie jej wysiedli na wybrzeżu przeciwległem tej części, po pochyłości której strumień lawy spływał do morza. Przybliżając się, kapitan Servadac i towarzysze jego przekonali się z ogromnem zadowoleniem, że temperatura stanowczo wznosiła się. Być może, iż ziszczą się nadzieje oficera! Być może, iż wśród tej ogromnej masy znajdzie się jakie zagłębienie, mogące być zamieszkanem i Galijczykowie unikną największego niebezpieczeństwa zagrażającego im!

I oto zaczęli szukać, wietrzyć, obchodzić kąty góry, gramolić się po jej pochyłościach najstromszych, po urwiskach, przeskakując ze skały na skałę, jak zwinne kozy, których teraz posiadali lekkość; ale nigdzie noga ich nie dotknęła innej materyi oprócz owych sześciokątnych pryzmatów, które zdawały się stanowić jedyny materyał asteroidy.

Poszukiwania ich nie miały pozostać daremnemi.

Po za wielkim odłamem skały, której szczyt wznosił się jak piramida ku niebu, oczom ich przedstawił się rodzaj wąskiej galeryi, lub raczej ponurego korytarza, wykutego w boku góry. Weszli tam bezzwłocznie przez otwór wznoszący się na dwadzieścia metrów mniej więcej nad powierzchnią morza.

Kapitan Servadac i dwaj jego towarzysze posuwali się czołgając wśród głębokich ciemności, przytrzymując się ścian tunelu, badając grunt pod nogami. Z huku, który się wzmagał, wnioskowali, że główny krater niedaleko musiał się znajdować. Najwięcej obawiali się by nagle nie zostali zatrzymani przez jaką ścianę, niepodobną do przebycia.

Ale kapitan Servadac miał ufność niewzruszoną, która udzieliła się hrabiemu i porucznikowi Prokopowi.

— Dalej! dalej! — wołał. — W wyjątkowych okolicznościach należy uciekać się do środków wyjątkowych! Ogień jest zapalony, komin niedaleko! Natura dostarcza paliwa! Do licha! tanio będziemy się wygrzewać!

Temperatura wynosiła wtedy najmniej piętnaście stopni ponad zerem. Gdy wędrowcy opierali ręce o ścianę krętej galeryi, czuli gorąco. Zdawało się, że skalista materya, z której góra była utworzona, miała przymiot przewodnika ciepła, jak gdyby była metaliczną.

— Widzicie, panowie — powtarzał Hektor Servadac, — tam wewnątrz znajduje się prawdziwy kaloryfer!

Nakoniec ogromne światło rozjaśniło ponury korytarz i ukazała się przestronna pieczara, cała promieniejąca. Temperatura była tam bardzo wysoka, ale znośna.

Wskutek jakiego fenomenu zagłębienie to, wykute w gęstej masie, posiadało owo światło i tę temperaturę? Poprostu strumień lawy wpadał tędy w zatokę, szeroko otwartą ku morzu! Rzekłbyś, że to płachty centralnych wód Niagary wiszszające się w sławnej grocie wiatrów. Tylko ta zasłona nie była płynną, lecz z płomieni rozpostartych przed szeroką zatoką.

— O, nieba opatrzne! — zawołał kapitan Servadac, — nie żądałem od was tak wiele!

(C. d. n.)

---

## Piśmiennictwo polskie.

*(Rewizya zamku ziemi wołyńskiej w połowie XVI. wieku. Wydał Aleksander Jabłonowski. Warszawa 1877. Tom VI Źródeł dziejowych.)*

Wielką usługę krytycznym pisarzom odda niewątpliwie ważne wydawnictwo „Źródeł dziejowych“, prowadzone w Warszawie pod starannem i umiejętnem kierownictwem panów Adolfa Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego. Żałować tylko wypada, że dzieła te nie są rozpowszechnione u nas wśród szerszej publiczności, a nawet rzadko która z księgarń krajowych posiada je na składzie. Bogate jednak materyały źródłowe, mało lub zgoła dotąd nieznane, publikowane w pierwszych sześciu tomach, wskazują, jak wielką

wartość do wydawnictwa tego przywiązywać powinniśmy.

Obok listów i mów poznańskiego wojewody Krzysztofa Grzymułtowskiego (T. I.), dziejów zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w 17 w., wydanych w polskim przekładzie z rękopisów włoskiego i łacińskiego (T. II.), dalej lustracyi królewszczyzn ziem ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszej połowy 17. w. (T. V.), zawiera T. III. i IV. nader cenne listy, uniwersały i instrukcye do panowania Stefana Batorego r. 1576—1577, poprzedzone szkicem historycznym i gruntowną monografią o synodzie piotrkowskim z r. 1577 pióra Pawińskiego.

Polecając tedy gorąco to wydawnictwo polskiej społeczności, pragniemy w niniejszym artykule zapoznać czytelników z bardzo bogatą treścią ostatniego świeżo wyszłego tomu szóstego dziejowych źródeł, obejmującego rewizyą zamków ziemi wołyńskiej w połowie 16 w., wydaną przez Aleksandra Jabłonowskiego. Z samej przedmowy wydawcy dowiadujemy się, że niniejsze nader ważne materyały, dotyczące przeszłości ziemi wołyńskiej w połowie 16 w., wzięte zostały z kopii rękopiśmiennej urzędowego, w języku ruskim, oryginału metryki litewskiej, która znajduje się w archiwum przy trzecim departamencie senatu w Petersburgu. Kopia ta, sporządzona w ubiegłem stuleciu i bardzo dobrze dotąd zachowana, zawiera w sobie opis rewizyi zamków ziemi wołyńskiej, w r. 1545 przez komisarzy królewskich dokonanej. „Rewizya“ zaś ta obejmuje sześć zamków ówczesnego, należącego jeszcze do Litwy, Wołynia; trzy właściwie wołyńskie: Włodzimierz, Łuck i Krzemieniec i dwa wołyńsko-podolskie: Winnicę i Bracław; oraz jeden z rozgranicza drewlańskiego: Żytomierz.

Treść niniejszej „Rewizyi“, częściami była już publikowaną. Opis trzech zamków starowołyńskich zamieszczonym został w tomie IV. „Pamiętników wydawanych przez komisyą czasową dla rozbioru aktów dawnych“ 1859 r., podług rękopisu, udzielonego komisyi przez znanego bibliofila i archeologa K. Swidzińskiego. Rewizya zamku żytomierskiego ma być podaną w „Materyałach do historyi zasiedlenia gubernii kijowskiej“; bracławskiego zaś, w tomie I, części VI. „Archiwa południowo-zachodniej Rossyi“ 1876 r. Jeden przeto tylko opis zamku winnickiego byłby dotąd zupełnie nieznanym.

Lecz mimo to zdecydował się wydawca do ogłoszenia w całości znalezionej „Rewizyi zamków“, a to nie tylko z tego powodu, że zawiera ona treść wybitnie charakteryzującą życie polityczno-społeczne w pewnej bardzo ważnej epoce, ale jest zarazem oddzielnym aktem urzędowym ogólnej doniosłości politycznej.

Wydane materyały poprzedza p. Jabłonowski osnutą na nich monografią historyczną p. t. „Ziemia wołyńska w połowie 16 w.“ rozpadającą się na dwa rozdziały. W pierwszej skreśla opis zamków, a w drugiej podaje ogólny pogląd na stan ówczesnego Wołynia podług źródeł i świadectw dostępnych.

Sama rewizya zamków dokonaną została z rozkazu Zygmunta Augusta. Młody władca obrany przez Litwinów na wielkiego księcia już w r. 1529, jako chłopiec dziesięcioletni, a następnie koronowany r. 1530 na króla polskiego, otrzymawszy w r. 1544 ostatecznie rzeczywisty zarząd krajów dziedzicznych domu Gedymina, rozpoczął tam swe panowanie niepospolitą energią administracyjną. Bo też wielkie księstwo potrzebowało podówczas wielu naglących przeobrażeń, a przedewszystkiem ujęcia w należyte karby wyłamujących się z lenniczych obowiązków panów możnych i ziemian, oraz ukrócenia ich przywłaszczeń i nadużyć władzy, szkodę publiczną przynoszących; nadto potrzebowało niezwłocznie dzielniejszego ubezpieczenia obronności zamków i granic. Uporządkowanie tedy Rusi południowej litewskiej, której jądrem była w owe czasy ziemia wołyńska, stało się naczelnem zadaniem nowego rządu.

To też zaraz po objęciu władzy Zygmunt August wysyła na południe do zamków łuckiego, włodzimierskiego, krzemienieckiego, bracławskiego, winnickiego i żytomierskiego, sekretarza swego, Lwa Patejewicza Tyszkowicza, nakazując mu owe zamki obejrzeć i wyłamujących się „od starodawnych powinności ziemskich“ do pełnienia takowych pobudzić. Gdy atoli kniazie, panowie i możniejsi ziemianie wołyńscy, dążący do zupełnego wyzwolenia się z pod feudalnych obowiązków publicznych, pragnęli pod różnymi pozorami uchylić się od wielkoksiążęcej kontroli, wtedy dla większej powagi uznał król za stosowne wysłać, jako nadzwyczajnego komisarza, biskupa łuckiego i brzeskiego, księdza Jerzego Falczewskiego czy Chwalczewskiego herbu Trąba, obywatela wypróbowanej dzielności i sprężystości.

Kniaź biskup tedy opatrzony w instrukcye i listy hospodarskie do kniaziów, panów i ziemian całej ziemi wołyńskiej, nakazujące onym powolność wszelką dla wysokiego komisarza, pod surową odpowiedzialnością, przeprowadził z całą ścisłością swą trudną czynność, nazwaną trafnie *„istną kampanią dyplomatyczno-egzekucyjną“*, a jej rezultat zawiera się w drukowanych w niniejszym tomie popisach zamków: włodzimierskiego, łuckiego, krzemienieckiego, winnickiego, bracławskiego i żytomierskiego.

Dla uzupełnienia materyału monograficznego, zawartego w Rewizyi zamków ziemi wołyńskiej, podał jeszcze wydawca kilka aktów urzędowych, dotyczących Wołynia z owych czasów i dołączył tak zwany „Przywilej całej ziemi wołyńskiej na prawa i wolności ich“ z r. 1501, gdyż przy rewizyi zamków nieustannie się do niego szlachta, jako do głównej podstawy praw swych, odwołuje.

To ze wszech miar staranne wydanie zamyka pracowicie ułożony przy końcu tomu wskaźnik miejscowości (osad) ziemi wołyńskiej, w rewizyi zamków 1545 r. się znajdujących.

*M. Chyliński.*

---

# PANNA KAPITANÓWNA*)

przez

MARKA PŁUŃCZA.

## I.

— Mikołaju...
— Co Florku?
— Powiedz-no mi szczerze...
— *Ta* co?
— Dziunia ładna?
— Aż strach!
— Podoba ci się?
— Ajaj!
— Zakochałeś się?
— I jak!
— Ożenisz się z nią?
— *Ni.*
— *Ni?*
— *Ni!*
— Dla czego ni?
— *Ta* bo *ni!...*

Jakaż to wielką zaletą powieściopisarza: być treściwym! Nie pochlebiając sobie, posiadamy tę zaletę w wysokim stopniu. Niewieleśmy dotąd powiedzieli, a czytelnicy dowiedzieli się już nadzwyczaj wiele, więcej może niż z całego tomu niejednej powieści. Dowiedzieli się najpierw z owego „ni“ i tym podobnych słówek, że rzecz dzieje się we Lwowie. Dowiedzieli się, że pan Mikołaj z panem Floryanem są z sobą „per ty“ (mówiąc po lwowsku), a więc w zażyłym stosunku i to w stosunku tak dalece poufałym, iż pan Floryan uczuł się w prawie zapytania przyjaciela w rzeczy tak drażliwej, czy się w pannie Wandzie zakochał, co więcej, zapytał go nawet o to, czy się z nią ożenić gotów. Ze sposobu sformułowania tego ostatniego pytania, dowiedzieli się nadto czytelnicy, że od woli pana Mikołaja zależy ożenić się z panną Wandą lub nie ożenić się, pan Floryan bowiem nie zapytał: „czy starasz się o nią?“ ani: „czy chciałbyś się z nią ożenić?“ itp., ale wręcz zapytał o to: „czy się ożeni?“ jak gdyby nie można wcale powątpiewać, że panna Wanda za niego pójść zechce i że rodzicom jej nie przejdzie nawet przez myśl odrzucić tak świetną partyę, jaką dla ich córki jest zapewne pan Mikołaj.

Dowiedzieli się wreszcie czytelnicy, że panna Wanda jest bardzo piękną, że pana Floryana wiele to obchodzi, czy pan Mikołaj w niej zakochany i czy się z nią żenić zamierza, a nakoniec, że pan Mikołaj, acz niby to zakochany, jednak żenić się nie myśli i jakieś powody, dla których nie chce wyjawić przyczyny wstrzymywania się od matrymonialnych zamiarów.

Z samego zaś kategorycznego zapytania pana Floryana widno jak na dłoni, iż postępowanie pana Mikołaja wobec panny Wandy musi zwracać mimowolnie uwagę i nasuwać domysły, że mu się podoba, że się w niej zakochał, że z nią ożenić się myśli.

Jak na pierwszy rozdział dowiedzieliśmy się bardzo wiele. Możemy na tem poprzestać.

## II.

— Na herbacie u pani Marcinowej przez cały wieczór z nią tańczyłeś. Pozamawiałeś wszystkie tańce i nikomu ani zbliżyć się nie dałeś do niej...
— No, to i cóż?
— A na spacerze wczorajszym do „Onderki,“ toś jej ani na krok nie odstąpił. Z powrotem, w Węglińskim lasku zostaliście z tyłu daleko za całem towarzystwem...
— No, to i cóż?
— A jakeś dziś siadł przy niej na *kozetce* za fortepianem, to ani się z tamtąd ruszyć nie mogła. Wszyscy się na was oglądali, a ona widocznie była okropnie pomięszana i siedziała jak na gorących węglach... A tyś ją tak trzymał na torturze aż do dziesiątej...
— *Ou wa!* No, to i cóż?
— Bałamucisz pannę!
— E, co znowu!
— Wszyscy to mówią.
— No, to i cóż?
— To nieuczciwie..
— *Ou wa!*
— I niebezpiecznie...

*

*) Rzecz ta drukuje się jednocześnie w „Echu“ warszawskiem.

— A to znowu dla czego?

— Wiesz przecie jaki jej ojciec pasyonat. On by cię zabił jak dwa a dwa cztery... Czyż nie pamiętasz, co zrobił z tym małym Fredziem w niebieskich okularach? — kości mu pogruchotał. A wtedy nie szło mu o rodzoną córkę, ale o siostrzenicę... I o taką szło bagatelę!...

— O cóż to?

— Fredzio powiedział, że wie, iż panna Anna płucze sobie ciągle usta miętową wodą i że wie, dla czego to robi; — a na zapytanie: zkąd wie, odpowiedział: To mój sekret...

— No, ja wiem, że z panem kapitanem niebezpiecznie. Taki impetyk! taki siłacz! Ale przecież mnie oni sami ciągle zapraszają i pannę sam na sam zostawiają ze mną... To i cóż z tego zresztą, że z nią rozmawiam, że z nią tańczę? przecież się nie oświadczyłem jeszcze! Wacio i Kostuś przecie się także koło niej kręcą — tak jak ja... a nawet i stary ten dyrektor banku z zatabaczonym nosem i ze swoją maliną na czole... Zadałem ja mu wczoraj ciemiężycy. Pierwszy raz udało mi się tak rozśmieszyć pannę Dziunię; przez całą godzinę gadałem o jego malinie... On o teatrze — ja o malinie, on o kwiatach — ja o malinie, on o swoich koligacyach — ja o malinie... Cha, cha, cha! unika mnie teraz jak ognia!... No, ten rudy Wacio i ten dryblas Kostuś, niech się tam kręcą jak chcą, obaj jak bizuny bez szerści, nie mają szansy. Ale tej łysej dyni z maliną na wierzchu, to znieść nie mogę! niech mi w drogę nie włazi!

— Ale po cóż się *ty* kręcisz, jeśli się z nią żenić nie myślisz?...

— Śmieszny jesteś Florku! Kto wie, może ja się jeszcze kiedy i zdecyduję. Dzisiaj nie; nie chcę... ale kiedyś... to kto tam wie. Otóż widzisz: nie można zasypiać sprawy, bo by potem było już za późno... Widzisz, Dziunia co piękna, to piękna, niech ją kaci! Dobre dziecko, że ją tylko do rany przyłożyć — a zgoi się... To także prawda. Ma panna i rozum i wykształcenie, to prawda... Ale...

— Ale co?

Pan Mikołaj zamiast odpowiedzi wykonał następujący ruch. Przyłożył do ust prawą dłoń i dmuchnął. Przyłożył lewą i dmuchnął. Wreszcie wyciągnął obie ku panu Floryanowi pokazując, że puste — i cmoknął przytem ustami.

— Aha! — rzekł pan Floryan i smutnie zwiesił głowę. I zapytał po chwili:

— To czemuż chcesz jej głowę zawrócić?

— Ba! dobryś! Ona nie ma, ale może mieć. Stary kapitan nic podobno już nie ma oprócz swojej pensyi, ale jest dziadek po matce, a raczej wujaszek kapitanowej, stary sknera Czecieczewicz, i jest jej ciotka, stara panna, sparaliżowana. Dziadek ma podobno grube kapitały, a Kartofelka panny Celestyny, to folwarczek nielada. Jedno i drugie, jak się zdaje, musi spaść kiedyś na kapitanównę. No, ale kiedy? kiedy?... O to idzie.

— A jeżeli nie spadnie?

— Aaa, to upadam do nóg!

— Taaak? A, to pięknie! Wstydź się Mikołaju!

— No, no, no, nie mam się czego wstydzić. Gdybym się na pięć minut przed ślubem dowiedział, że nic nie ma, tobym zerwał, choćby była piękną i dobrą jak anioł. Nie głupim, abym sobie los zawiązał i całe życie biedę klepał dla jej pięknych oczu. Leśna Wólka dobra dla mnie samego, ale na dwoje nie wystarczy... Ale ty? ty mi coś bardzo interesujesz się tą Dziunią? hm?... Nie bałamuć sobie głowy, bo tobie jej nie dadzą. Wiesz o tem?

— Wiem — odrzekł Florek spokojnie. — I dodał po chwili: Wiem — i wiem dla czego...

Naśladując ruchy Mikołaja, dmuchnął po po kolei na obie swe dłonie, wyciągnął je przed siebie i cmoknął ustami.

Mikołajek uśmiechnął się, widocznie żywo zadowolony z tego uznania jego wyższości w hierarchii społecznej, a Floryan powtórzył raz jeszcze:

— Wiem, wiem, że dziedzic Leśnej Wólki więcej wart od dziennikarza felietonisty!

— Ho, ho, daliby mi ją na wyskok, z pocałowaniem ręki!...

To mówiąc pożegnał się pan Mikołaj z felietonistą i odszedł tryumfującym krokiem.

Florek westchnął ciężko. Siedział długo na miejscu ze zwieszoną głową i dumał. Długo tak było. Nagle głowę hardo podniósł w górę, pięścią w stół uderzył, a oczy jego zabłysły jakiemś silnem postanowieniem.

— Czekaj pyszałku! naleję ja ci sadła za kołnierz!... Biedna Dziunia! miałaby pójść na pastwę takiego trutnia? O, nic z tego!...

A co więcej sobie myślał jeszcze, może kto odgadnie. My nie tacy domyślni. Nie wiemy.

## III.

W kilka dni później stała w kronice jednego z pism codziennych lwowskich następująca korespondencya z Jasła:

„*** Dziś z rana miasto nasze przerażone zostało bolesną wieścią o nagłym zgonie jednego z najzamożniejszych, a oraz najzacniejszych na szych obywateli, nieodżałowanego dobrodzieja ubogich, a opiekuna potrzebujących pomocy. Komuż nie wiadomo, że był nim śp. January Pomian Czecieczewicz, po którym miasto nasze długo nosić będzie żałobę. Niepowetowana ta strata, tem większym napełnia nas smutkiem, iż szczegóły jego zgonu świadczą dowodnie, że ś. p. January, oddając Bogu ducha, myślał właśnie o dobru naszego miasta. Służąca przynosząc dziś rano o 6tej jak zwykle kawę zmarłemu, znalazła go w postawie siedzącej przy biurku; widocznie piorunująca apopleksya zastała go przy pracy. Z zimnej już ręki jego wysunęła się fotografia ukochanej wnuczki, a na biórku leżał świeżo napisany i nie zapieczętowany jeszcze testament, w którym zapisując tejże wnuczce, pannie Wandzie K. znaczny swój majątek, w kapitałach złożony, przekazuje jej obowiązek spłacenia legatu na rzecz budującego się szpitalu w naszem mieście, a mianowicie dziesiątej części całego mienia, jakieby w chwili zgonu posiadał. Ta część dziesiąta, jak nas zapewniono, wyniesie co najmniej około 7,600 złot. reńskich w. a. Cześć pamięci zasłużonego męża!

*Przypisek Redakcyi.* Równocześnie dochodzi nas z Jasła druga korespondencya tejże samej treści, a podająca niektóre szczegóły z życia ś. p. J. Czecieczewicza, z zapowiedzią obszerniejszego życiorysu. Wstrzymujemy się z jej ogłoszeniem, czekając na zapowiedziany życiorys.“

Pan Mikołaj zwykł był pijać ranną kawę w cukierni pod znaną firmą *Mudziński et Ostecki*. Przy śniadaniu przeglądał zwykle dzienniki. Spostrzegł tedy korespondencye z Jasła, umieszczoną wbrew przyjętemu przez redakcyę zwyczajowi na czele kroniki, która od miejscowych wiadomości się zaczynać zwykła. Uderzyło Mikołaja nazwisko nieboszczyka, rozsadzonem wydrukowane pismem. Przeczytał artykulik, zajaśniały mu oczy radością. Chwilkę niedowierzał własnemu szczęściu, odczytał raz drugi. „Nie, to prawda! nie ma wątpliwości! dwie korespondencye donoszą toż samo; stary kutwa umarł, Dziunia jest wielką panią!“ Nie dopił kawy, nie dojadł wybornego rogala z makiem (na całym świecie smaczniejszych nie ma jak u Mudzińskiego we Lwowie), nie zapłacił, wyleciał z cukierni jak oparzony — ku wielkiemu zdziwieniu pana Mudzińskiego i jego wspólnika p. Osteckiego stojących za „ladą.“

— Co to znaczy? — rzekł pan Mudziński i popatrzył na pana Osteckiego.

— Co jemu się stało? — zapytał pan Ostecki i popatrzył się na pana Mudzińskiego.

I popatrzyli się obaj na siebie zdziwionemi oczyma.

Po chwili obaj równocześnie wzruszyli ramionami.

Pan Mikołaj nie słyszał nic, nic nie widział. Biegł do domu, nie witał przechodzących znajomych, nie kłaniał się damom — potknął się trzy razy na kupach śmieci, potrącił żyda faktora pytającego „czy nie potrzeba co *miniać?*“ — biegł. Biegł i pytał się sam siebie: „Wiedzą już, czy jeszcze nie wiedzą?“...

Wpadł do swego pokoju, zrzucił poranne ubranie, wyjął z szafy strój balowy, wypomadował włosy, wyperfumował się od stóp do głowy, „rzucił się“ we frak, zaczesał szczoteczką cylinder, rękawiczki jasno-cielistego koloru pochwycił do ręki, zbiegł ze schodów, kazał stróżowi sprowadzić fiakra: „Jedź na ulicę Mickiewicza!“ i pojechał. (C. d. n.)

---

## KRONIKA PRZYRODNICZA.

Do rzędu najdziwniejszych, najbardziej zajmujących zjawisk w życiu duchowem człowieka, należą zjawiska zdwojenia samowiedzy, o których wyszła niedawno z druku piękna rozprawa Dr. Juliana Ochorowicza. Życzących bliżej oznajomić się z przedmiotem, odsyłamy do tego dziełka, my pozwolimy sobie przytoczyć tylko jeden nowy a zadziwiający fakt przybywający do szeregu takich zjawisk, ogłoszony przez Dra Azama z Bordeaux w ostatnim numerze Revue Scientifique.

Dr. Azam znany już jest ze swych badań nad panną Felidą X., przedstawiającą najdziwniejszą istotę na świecie. Podlega ona zdwojeniu samowiedzy. Rzec można, że przedstawia w sobie dwie rozmaite, zupełnie odrębne osoby. Felida do roku 15 swego życia była w stanie normalnym i żyła umysłowo jak wszyscy inni ludzie. W tym czasie wpadła w stan inny, w którym nic nie wiedziała o tem, co się poprzednio działo. Od tej chwili zamiana jednego stanu na drugi powtarza się przez lat kilkanaście bez przerwy, lecz stan normalny jest bardzo krótki. Dwa do trzech miesięcy trwa stan nowy, potem przez dni kilka a obecnie już tylko przez kilka godzin stan dawniejszy. Felida, będąc w jednej fazie swego życia, nie pamięta o niczem, co się zdarzyło w drugim, i wogóle w stanie, który później nastąpił, jest daleko wyżej umysłowo rozwiniętą. Przypatrując się jej w tych obu stanach, mamy przed sobą dwie zupełnie różne osoby, nie wiedzące wzajemnie nic o swoich czynnościach i różniące się nawet uzdolnieniem umysłowem.

Doktorowi Azamowi udało się teraz odszukać jeszcze inną osobę, przedstawiającą podobnego rodzaju zjawiska. Jest to młody chłopak, mający lat około 13tu, odznaczający się bystrością umysłu i z dobrem, jak na swój wiek, początkowem wykształceniem. Religijne uczucia jego są mocno rozwinięte pod wpływem bardzo religijnego otoczenia rodziny. Albert mając 5 lat, dostał napadów kaszlu, które się powtarzały peryodycznie. Trwało tak aż do stycznia 1875. W tym czasie kaszel wzmógł się gwałtownie, towarzyszyły mu konwulsye i lekarz był zmuszony udać się do eteryzacyi młodzieńca.

Po tym napadzie zauważono, że Albert stracił zupełnie pamięć o wszystkiem, co się poprzednio działo; co więcej, nie umiał już ani czytać, ani pisać, ani rachować, w ogóle zapomniał wszystkiego, czego się poprzednio nauczył. Przestał poznawać nawet otaczające osoby, z wyjątkiem ojca, matki i zakonnicy, która go pielęgnuje. Kaszel prędko ustał i Albert zaczął prowadzić zwykłe życie: jeździł konno, chodził z ojcem na przechadzkę, lecz pamięć nie powracała. Nareszcie po dniach dwudziestu przepędzonych w tym dziwnym stanie, rozdziera się tajemnicza zasłona i Albert wraca do pierwotnego stanu i umie już pisać, czytać itd.

Za parę miesięcy powtórzyła się dawna historya. Od tego czasu aż do dzisiaj, powtarzają się te zmiany bez przerwy.

Rzecz dziwna, że zwykle pamięć powracała raptownie, i że gdy podczas stanu nienormalnego Albert widział w literach tylko znaczki bez żadnego znaczenia, w jednej chwili, gdy wrócił do stanu pierwotnego mógł pojąć ich znaczenie.

Podajemy tu te dziwne fakta, bez żadnych wyjaśnień, gdyż takowych, w ścisłem znaczeniu tego słowa nie posiadamy wcale. Są to rzeczy, które tak daleko wyskakują po za obręb zjawisk pospolitych, że długi jeszcze może czas upłynie, zanim będziemy mieli ich naukowe wytłumaczenie.

* * *

Walka człowieka ze szkodnikami pól i lasów zaczyna przybierać olbrzymie rozmiary. A walka to nie łatwa i rezultat jej bardzo wątpliwy; tymczasem jedne po drugich przychodzą plagi. Winnice obsiadła *Phylloxera*, a kartoflom grozi przybycie z Ameryki okropnego chrząszczyka *Colorado*, którego i we Lwowie oglądać możemy— wprawdzie w stanie nieszkodliwym, bo.. z czekolady p. Strusa. Lecz ten ostatni chrząszczyk jest dotąd tylko plagą grożącą w przyszłości, gdy tymczasem Phylloxera już odbiera swoje ofiary. Szczególniej francuskie winnice cierpią na tem i dla tego w kraju tym zastosowują wszystkie środki, które nauka podaje, w walce z tym strasznym wrogiem. Akademia paryska wydelegowała do tej sprawy specyalną komisyę, której zadaniem badanie środków proponowanych do zniszczenia szkodnika. Sprowozdawca komisyi, p. Boiteau zdał niedawno sprawę z dotychczasowych kilkuletnich poszukiwań, którego treść zawiera się w tem, że znakomite usługi przy niszczeniu Phylloxery oddaje *siarek węgla*, i że z dotychczasowych środków ten jest najpraktyczniejszym i najskuteczniejszym.

Nie małej wrzawy narobiło pojawienie się tego lata w Niemczech (w Mühlheimie koło Kolonii) chrząszczyków Colorado, które widocznie przeniesione tam były na jakimś okręcie płynącym z Ameryki. Telegraf w jednej chwili rozniósł wiadomość o tem na wszystkie strony i nic dziwnego, że powstał w Niemczech taki popłoch, gdyż w większej ich części kartofle stanowią główną część pożywienia biednej ludności. Do Mühlheimu zjechała w tej chwili komisya rządowa, polano pole naftą i spalono w ten sposób rośliny zarażone do szczętu.

Ponieważ Mühlheim leży niedaleko od francuskiej granicy, więc i za kordon przeniosły się obawy. Panu Maurycemu Girard nie wystarcza spalenie naci kartoflanej; powiada on, i to z zupełną słusznością, że chrząszczyki miały czas zostawić poczwarki w ziemi w głębokości 12—15 centymetrów, że tam działanie ognia nie doszło, że więc trzeba i te żywe pozostałości wyniszczyć. Pan Girard proponuje uskutecznić to drogą chemiczną, oblewając pole trującym roztworem, który wsiąknie do ziemi i dojdzie aż do poczwarek.

Rządy krajów nadmorskich wydały, w celu uchronienia się od tego chrząszczyka, jak najsurowsze przepisy odnoszące się do rewizyi okrętów, lecz wątpimy, czy to się na co przyda. Jakżeż tu bowiem ochronić się od małego nieproszonego przybysza, który może się przenieść nawet w fałdach odzienia?

---

## TYDZIEŃ LWOWSKI.

*Lwów dnia 24. stycznia.*

Do rzędu najważniejszych faktów ubiegłego tygodnia policzyć musimy prywatnie urządzony obchód rocznicy 22 stycznia, który zgromadził przeszło 300 osób. Również na pociechę naszą zaznaczyć wypada, że tym razem prócz oddania czci zmarłym i żyjącym uczestnikom walki z roku 1863, odezwało się kilka rozsądnych głosów zwracających uwagę na to, że przeszłość nasza o tyle może mieć ważne znaczenie dla teraźniejszości, o ile wielkie i szlachetne czyny przodków posłużyć mogą za wzór i naukę dla potomnych, jest to zwrot bardzo pożądany, gdyż jak powiadają Moskale *pokłonem szuby ne podbijesz*. Wobec niedawno zaszłej śmierci Aleksandra hr. Wielopolskiego, osoby grającej tak ważną rolę w wypadkach 1863 roku, gdy przedstawiciele naszej prasy starają się w odmiennych wręcz kierunkach określać znaczenie charakteru, dążeń i rezultatów pracy tego człowieka, jako Polaka i męża stanu, my pragnęlibyśmy stanąć pośrodku tych krańcowych opinii, przyznając zmarłemu bądź co bądź niepospolite zdolności, zapas siły i energii, lecz zarazem i dumy rodowego możnowładcy. Margrabia Wielopolski nie umiał dyplomatyzować i gardził zdaniem i usposobieniami ogółu. Postanowił on sobie zbawić Polskę mimo jej woli, podług wyrobionej w umyśle swym modły: postawił wszystko na kartę — i przegrał!...

Kwestya, coby było, gdyby był wygrał? Powtarzamy, zgrzeszył osobistem samowładztwem, grubą nieznajomością stanu umysłowego swoich rodaków, lecz w żadnym razie złych, a jak inni powiadają, niedorzecznych intencyi, zarzucić mu nie można. Nie bronimy go, bo przegrał stawkę, lecz nie podobna twierdzić, że chciał przegrać. Ci, co go bezwzględnie podnoszą pod obłoki, i ci co go staczają na brzeg narodowej kałuży, zapominają o tem, że margrabia Wielopolski stawał w królestwie jako Reprezentant Rządu moskiewskiego, jako człowiek posiadający o tyle zaufanei tego rządu, że w ślad za nim wysłano zastęp dozorców, którzy podsłuchiwali nie tylko słowo, ale każdą myśl i oddech jego. Jako Naczelnik Rządu, który po prostu ze strachu powierzył mu władzę, nie mógł on stawiać innego programu, jaki postawił; kwestya tylko i słuszny zarzut może być na tym punkcie, czy miał zdolność i posiadał odpowiednią zręczność do przeprowadzenia go w takich warunkach, w jakich go okoliczności zastały. Na to pytanie mamy gotową odpowiedź: że nie, i to właśnie stanowi cały zarzut ciążący na Wielopolskim. O inne, teraźniejszość obwiniać go nie może, są to za świeże fakta, aby była pora wyjawiać je publicznie; ale że kiedyś wyjdą na jaw, i że pozwolą oświecić naturalnem światłem tę niezwykłą postać na naszym horyzoncie dziejów porozbiorowych, o tem wątpić się nie godzi.

Oddawszy, co się należy przeszłości i wspomnieniom, przejdźmy do historyi życia lwowskiego w ostatnim tygodniu. Tu już mimo kalendarzowego karnawału, pierwsze miejsce zajmują „Świeczniki chrześciaństwa“, wspaniały obraz Siemiradzkiego.*) Zawstydzona publiczność zarzutem obojętności, z jaką przez pierwszy tydzień odwiedzała salę w gmachu strzelnicy, w ostatnią niedzielę ruszyła gromadą na ulicę Kurkową. Takie arcydzieło ustawić w podobny sposób, w podobnej sali i z podobną nieznajomością, może tylko barbaryzm miasta leżącego pod 50° szerokosci geograficznej. W całej sali, przedzielonej filarami, nie znajdziecie jednego punktu, z którego by cały obraz zobaczyć można; potrzeba więc zadowolnić się rozpatrywaniem pojedyńczych grup, osób i scen, co na jedno wyjdzie, gdyby go na wałkach jak w panoramie przesuwano. Ztąd pocieszných można się nasłuchać uwag oglądających, a zwłaszcza oglądających świeczniki przez lornety teatralne. Na Nerona nikt nie patrzy, raz że jest on na drugim planie, a powtóre postać to wstrętna dla każdego; same świeczniki również nie zwracają uwagi, bo spowijane słomą i pokryte półcieniem zmroku. Za to płeć piękna dość rozneglizowana, jest przedmiotem zajęcia szanownych małżonków, którym żony nie towarzyszą w tej artystycznej wycieczce... Ostrzegam czytelniczki, nie puszczajcie samych mężów do gmachu strzelnicy, oni tak tam strzelają na obnażone wdzięki owych Rzymianek, że nic dziwnego, iż wróciwszy na obiad, nie mogą doszukać się smaku w kluseczkach waszą ręką w kuchni wypracowanych. Z czego on to malował? — pyta jeden taki szpakowaty tatuś drugiego — Z natury, ma się rozumieć, czy to w Rzymie brakuje modeli?.. A ta uważałeś, co stoi przy kolumnie, hę?.. a ta, co gra w kości?.. proszę cię, jakby niewymyta... coś, coś ma takie smugi po plecach... A ta lutnistka na dole?.. Śliczna kobieta.. wiesz, warto pojechać do Rzymu.. Panie dobrodzieju — mówi drugi — na wszystkobym się zgodził, na puhar Falerna, i w kości bym grał z tą, co sobie łóżko zrobiła pod murem, ale bym panie dobrodzieju nie dał sobie włożyć wieńca z róż na głowę, jak ten stary senator... Śliczny obraz, nie ma co powiedzieć... Ten hultaj Neron miał dobry gust... Bo też tęgiego miał profesora, widzisz tego Senekę.....

I podtatusiali żonkosie wyszli w pełnym zachwycie z sali i gawędzili sobie przez drogę, że Neron umiał żyć, panie dobrodzieju; przynajmniej wtedy ludzie się bawili, a nie tak jak teraz, gdzie grosz grosza goni i ledwie że na sól wystarczy... Nie martwcie się szanowni obywatele, niedługo będziecie mieli sól tańszą; delegacya nasza w Wiedniu, uzyskała w tych dniach ważną koncesyą na tej drodze, nie dla ludzi

*) Ocenę tego obrazu podamy w przyszłym numerze. (Przyp. Red.)

wprawdzie, ale dla bydła galicyjskiego wywalczyła *w zasadzie* tańszą sprzedaż soli. Przyjdzie czas i na ludzi; bo jeżeli już zacząć reformę społeczną w Galicyi, to trzeba zacząć od najniższych warstw stworzenia, aby reforma była gruntowna według teoryi Darwina. Mamy już Towarzystwo ochrony zwierząt, ustawę o ochronie ptactwa, ustawę przeciw wyniszczaniu kozic i świstaków górskich, psy otrzymały obywatelstwo, bo płacą podatek, a teraz znowu poczciwe woły i krowy galicyjskie mogą się *w zasadzie* oblizywać na ową sól tak heroicznie dla nich wywalczoną. O niewiele chodzi, aby zasada zmieniła się w sól, tylko trzeba wynaleźć środek zaprawienia w ten sposób owej soli, żeby jej ludzie bydłu nie wyjadali... Mój Boże, jakaż to troskliwość o to bydło! Jeżeli kiedy ojczyzna nasza zdobędzie się na jaki pomnik, to prócz ogólnej kolumny dla uczczenia zasług delegacyi, osobną postawi kolumnę z owej byldęcej soli w Przemyślu księdzu Juzyczyńskiemu sławnemu obrońcy naszej trzeźwości narodowej. Deputowany Suess, piszący się przez dwa *s* dla odróżnienia się od kanału słodkiej wody, o który się tak Anglicy dobijali, stanowi również kanał, którym żółć jego corocznie odpływa z Wiednia do Galicyi, a którym bezpłatnie żegluje świątobliwy patryotyzm i ruska trzeźwość szanownego księdza posła do Przemyśla. Nie ma się czemu dziwić; każdy człowiek ma sumienie, a ksiądz poseł, jako osoba udzielająca rozgrzeszenia, wie, jak najlepiej dać zadośćuczynienie za popełniony grzech przy sprzedaży gmachu katedralnego w Przemyślu — i w drodze oszczędności dla funduszów edukacyjnych w Galicyi, powrócić rządowi przepłaconą sumę. Zresztą po co uczyć młodzież polską historyi ojczystej, *historyi przeszłości rozogniającej umysł marzeniami?* Po wydaniu ustawy przeciw pijaństwu, wszelkie tego rodzaju nadużycia w marzeniach mogą być groźne nawet dla namaszczonej fizyognomii, i dla tego radzilibyśmy księdzu Juzyczyńskiemu nic a nic nie wierzyć uwagom przy sprawozdaniach budżetowych zamieszczanym, ale jechać do jedynej dla niego przystani w Chełmie, gdzie całą przeszłość i przyszłość swoją pokryć może tęczowemi bumażkami. Po co żyć w krainie marzeń, i nieustannie lękać się skutków rozogniania.

Do tylu smutnych wieści wiejących w tym tygodniu na karnawał lwowski, wypadnie dodać jeszcze jednę, a tą jest groźba Dyrekcyi teatru, że niedługo już cieszyć się mamy naszą operą. Mimo, że gazeta narodowa ogłosiła już werdykt wypowiadający miejsce artystom opery i orkiestrze, jeszcze nie wierzymy temu, i radzibyśmy, aby ogłoszenie to miało wartość owej zupełnej wyprzedaży sklepów, która się, póki tylko są amatorowie na kupno, nigdy nie kończy...

Teraz, gdy komisya ankiety dla spraw szkół rękodzielniczych i przemysłu domowego coraz częściej daje znać o sobie, możemy śmiało utrzymywać, że święci garnków nie lepią, bo i w Kołomyi potrafią robić garnki, i jeszcze jakie garnki? Członkowie komisyi tej ankiety jeździli tam na zwiedzenie szkoły garncarstwa, i jak najlepsze o jej przyszłości złożyli sprawozdanie. Tym sposobem podniesiona na ostatnim sejmie myśl zużytkowania domowej pracy dla polepszenia bytu klass wyrobniczych wchodzi w wykonanie, bo i w Alwerni ma się założyć taka sama szkoła, a w Jarosławiu szkoła koszykarska. Szkoda, że nie w Przemyślu, tam ksiądz Juzyczyński, byłby gotowym profesorem do plecenia koszałek i opałek, a nic by mu nie zaszkodziło, gdyby ponad Sanem urządzono racyonalną hodowlę prętów, której więcej dla Przemyśla, niż dla Jarosławia potrzeba. Przy nowych wyborach do Rady Państwa, ten materyał koszykowy mógłby ważną odegrać rolę przy otrzeźwieniu kandydatów propagujących trzeźwość narodowego patryotyzmu.

Na zakończenie tej smutnej kroniki, niezasilonej werwą ani jednego dotąd balu, ani jednej maskarady, którąby tą nazwą uczcić wypadało, donoszę, iż we wtorek wieczór, cały Lwów chodzący przewracał się do góry nogami po ulicach... Jest tu ten patryarchalny zwyczaj niewyrębywania lodu z chodników, więc gdy po deszczu nastąpił przymrozek, wszyscy bezpłatnie uczyliśmy się c. k. lodomeryi, to jest nauki mierzenia lodu własnymi lojalnymi nosami. Kto z tego wyszedł cało, to tak samo jakby już zdał państwowy egzamin, i może mieć kwalifikacyę na urzędnika do przyszłego „Hinterlandu“, leżącego między Serbią a Dalmacyą, który jak się zdaje, będziemy musieli wziąć dla ubezpieczenia północnej państwa austryackiego granicy. — Przy tym lodomeryczny m egzaminie, pokazali się niedorosłymi: „Dziennik Polski“ i „Szczutek“ wzięto ich zatem do aresztu. Co do Dziennika nie umiem powiedzieć dlaczego c. k. prokuratorya chce go gwałtem ustroić w biało-niewinną koszulę, on już i tak od Nowego Roku dość blado wygląda — ale co do Szczutka, to całe bałamuctwo sprowadził Imci pan Onufry, który jak wiadomo, wszelki swój rozum czerpał z gawędek woźnego od gubernii w handlu szanownego Naftuły. Otóż, odkąd rzeczony pan Naftuła razem z rodziną swoją przeszedł na łono katolickiego kościoła, woźny nie pokazuje się tam więcej, obawiając się nielojalności miejsca, a biedny Onufry straciwszy lojalny grunt pod nogami, coraz częściej schodzi na manowce, z których musi go co tydzień sprowadzać c. k. prokuratorya.

* * *

Moda listów otwartych nie minęła jeszcze, choć zdaje się, że w ostatnich czasach była dość zdyskredytowaną. Pewien literat, który już z bardzo wielu pieców chleb jadał, porwał obecnie tę maczugę, aby się nią opędzić od rozmaitych zarzutów, jakie się nań z różnych stron posypały. Opędzając się od zarzutów, chciał przy tej okazyi zostawić parę sińców swoim przeciwnikom, w których liczbie umieścił także i obecną redakcyę „Tygodnia.“ Zarzucił jej mianowicie, że nie chciała zapłacić honoraryum ś. p. Paulinie Wilkońskiej za artykuły umieszczane w „Tygodniu.“ W zarzucie tym jest jednak połowa prawdy: prawdą jest mianowicie, że obecna redakcya nic nie chciała zapłacić pni Wilkońskiej. Ale również prawdą jest, że pni Wilkońska nigdy zapłaty żadnej nie żądała, a to dla tej drobnej przyczyny, że umarła przed dwoma laty, i obecnej redakcyi, która dopiero od lipca objęła „Tydzień,“ żadnych artykułów nadsyłać nie mogła, z wyjątkiem chyba korespondencyi z tamtego świata, których jednak, jak wszystkim wiadomo, dotychczas jeszcze nie drukowano w „Tygodniu,“ redakcya zaś zwykła płacić za artykuły dopiero po wydrukowaniu.

---

# TEATR.

(Ostatnie komedye Fredry. Arria i Messalina tragedya w 5 aktach Wilbrandta, przekład A. Urbańskiego „Duch wojewody“, komiczna opera w 3 aktach Ludwika Grosmana).

Od dawna już nie było tej rubryki w *Tygodniu*, bo też od dawna już nie było co notować i nad czem się rozpisywać. Obecny sezon teatralny jakiś mdły jest, nowości ma mało, a i te co się ukazują, nie bardzo są zachęcające. O jednem tylko powinna była wspomnieć niniejsza rubryka, a nie wspomniała, mianowicie o dwóch nowo wystawionych pośmiertnych komedyjkach Fredry: „Teraz“ i „Jestem zabójcą“. To zaniedbanie chcemy tu naprawić w kilku słowach.

Komedyjki te zbyt ostro osądzone zostały przez miejscową krytykę. Nie są to zapewne arcydzieła, można się nawet zgodzić na to, że komedyjka „Teraz“ jest utworem niewykończonym, że ma tytuł dość bałamutny, a przy końcu jest jakby urwaną, niemniej przeto znać w niej wszędzie Fredrowskie pióro, Fredrowską wyrazistość postaci, Fredrowską wesołość i swobodę. Komedyjka „Jestem zabójcą“ przypomina styl Beaumarchais'go i nachyla się trochę ku farsie, ale jest wyborną jako instrument do wywołania śmiechu, obfituje bowiem w komiczne sytuacye.

Rzym starożytny, Rzym Cezarów, wszedł od niejakiego czasu w modę u poetów i malarzów. Ale kiedy Siemiradzki, Kaulbach, Pilotti, Hammerling malują zbrodnie, rozpustę i szaleństwa cesarzy, pan Wilbrandt obiera sobie cząstkę jeszcze efektowniejszą i przedstawia zbrodnie, rozpustę i szaleństwa cesarskiej małżonki, Messaliny. Samo jej imię określa już poniekąd charakter bohaterki, stało się bowiem nazwą rodzajową. Jest to więc kobieta w nierządnych namiętnościach swoich nie znająca granic, w której przytem lubieżność łączy się z lekkomyślnością dochodzącą do szaleństwa. Naprzeciw tej kobiety, uosabiającej w sobie całe zepsucie niewieściego świata za Cezarów, stawia autor Arrię, gasnący już wówczas typ starej matrony rzymskiej, która sama doradza synowi śmierć, jako jedyny sposób uniknięcia hańby, która przy końcu dobrowolnie śmierć sobie zadaje, aby tym widokiem obudzić odwagę w mężu, ten bowiem skazany przez Messalinę na śmierć z własnej ręki, nie ma dość odwagi do spełnienia wyroku na sobie.

Messalina instynktowo nienawidzi Arryi, cnota i nieugiętość tej ostatniej drażni ją i jest niejako urąganiem z jej wszechwładnej potęgi. Do dawnych powodów nienawiści przybywa nowy. Messalinie podobał się młody, piękny i cnotliwie wychowany syn Arryi i Paetusa. Nie wiedząc z początku z kim ma do czynienia, pokochał Messalinę. Dowiedział się potem, kto jest jego kochanką, ale już było za późno; nawet głos matki nie zdołał go wydrzeć z objęć cesarzowej. Bardzo prędko jednak przyszło opamiętanie, ujrzał się gachem Messaliny w jednym szeregu z tylą innych spodlonych Rzymian, a nie chcąc naglem zerwaniem z nią stosunku narażać na jej zemstę ojca swego i tak podejrzanego o knowanie spisku, za radą matki śmierć sobie zadał. Messalina przychodzi do mieszkania Aryi, aby odwiedzić swego kochanka i tym sposobem okazać swój tryumf nad jego matką, Aryą, i zastaje kochanka na marach. Zelżona przez Aryę, postanawia jeszcze ugiąć ją, wydając na jej męża wyrok śmierci. I to się jej nie udaje: wiemy już, że Arya sama dobrowolnie się przebiła, dając dobry przykład mężowi, który też nie omieszkał skorzystać z tego przykładu.

Ale i na Messalinę wybiła ostatnia godzina. Mąż jej, cesarz Klaudyusz, bawiący w Ostyi, złożył wprawdzie władzę na czas swej nieobecności w jej ręce, ale pozostawił przy niej swego wiernego zausznika, wyzwoleńca Narcyza, który właściwie sam rządził w imieniu cesarza, do czasu uginając się przed kaprysami Messaliny i tolerując jej nierząd. Gdy po śmierci Marka, Messalina, jakby w napadzie szaleństwa, postanowiła odbyć formalne i publiczne zaślubiny z jednym z dawniejszych swoich kochanków, Syliuszem, Narcyz pospiesza do Ostyi, sprowadza cesarza a wraz z nim wyrok śmierci na wiarołomną żonę. Wolno jest Messalinie zginąć z własnej ręki, ale nie jest ona Arryą, nie ma siły rozstać się z życiem, ginie więc od miecza wyzwoleńca.

Wilbrandt wziął portret Messaliny i część fa-

buły do swojej tragedyi z Tacyta. Nie można jednak powiedzieć, ażeby dostatecznie rozwinął, wycieniował i uzasadnił psychicznie ten charakter, i aby dostatecznie wyzyskał materyał historyczny. I owszem. Messalina Tacyta wydaje mi się i bardziej zrozumiałą i bardziej zajmującą. Bo żeby zrozumieć dla czego Messalina mogła w lekkomyślności i rozpasaniu dochodzić do takiego zuchwalstwa, jakiem było wesele z Syliuszem, fakt czysto-historyczny, potrzeba koniecznie znać postać jej męża, cesarza Klaudyusza, postać uczonego niedołęgi, wybornie odmalowaną u Tacyta, a usuniętą zupełnie za kulisy przez Wilbrandta i nawet jednym rysem nie naznaczoną. Usunął też p. Wilbrandt ze swojej sztuki matkę Messaliny, Lepidę, która była obecną śmierci córki, i radziła jej po starorzymsku uprzedzić cios z ręki oprawców śmiercią dobrowolną. Prawda, że za to wprowadził autor Arrię i Marka, o których Tacyt nie mówi i tym sposobem chciał starorzymską cnotę przeciwstawić późniejszej rozpuście, ale Arrya jego jest tak na urząd robioną matroną rzymską, że żadnego prawie nie budzi współczucia, Marek zaś (przekleństwo jakieś ciąży na Markach!) przypomina trochę owego Marka weneckiego, z którego p. Zaleski zrobił był znaną tragedyę swoją. Przytem chciał, jak się zdaje autor uszlachetnić nieco charakter Messaliny miłością dla Marka, tymczasem kreśląc sceny ich miłości, stworzył obrazy tak nieprzyzwoite i nieprzyjemne, że dość jest mieć odrobinę smaku, aby poczuć wstręt do nich.

W roli Messaliny występowała pani Nowakowska, Markiem był p. Ładnowski. Obok nich najwięcej oklasków zbierała pani Aszpergerowa w roli Arryi. P. Fiszer był bardzo dobrym Narcyzem, pan Lubicz daleko lepiej wyglądał jako Syliusz, niż jako Francuz w Daniszewych, gdzie uważał za swój obowiązek być ciągle uśmiechniętym.

W przeszły wtorek przedstawiono po raz pierwszy „Ducha wojewody", komiczną operę Ludwika Grosmana, która już obeszła wiele scen stołecznych, (w Peszcie, w Wiedniu, w Petersburgu) i wszędzie jak najlepiej była przyjętą. W istocie zasługuje na to, nie dlatego, żeby miała odznaczać się oryginalnością, żeby była wykończoną i organicznie utworzoną całością, ale jako przyjemne, lekkie, zabawne pot-pourri. Można zatem i we Lwowie rokować tej operze, a właściwie operetce, wielkie powodzenie, tylko potrzeba, aby dalsze przedstawienia były porządniejsze od pierwszego, aby duety lepiej się udawały, i aby mazura lepiej tańczono. *J. T.*

---

## BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Morosz Julian.* Złota niteczka. Powieść oryginalnie napisana. 8ka, str. 202 Warszawa 1877 60 ct.

— *Schmitt H.* Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych. 8ka, str. 93 Lwów 1878. 90 ct.

— *Teatr dla amatorów,* zawiera: Fredro. Przed śniadaniem. Łączyński. Za panią matką pacierz i Starzeńskiego: Życie Cezara. 16ka str. 99. Lwów 1878. 80 ct.

— *Vogt Karol.* Listy o fizyologii. Przekład Dr. Konrada Dobrskiego. Ze 100 rycinami w tekście 8ka str. 833. Warszawa 1877. 5 złr.

— *Wieczory starego nauczyciela.* 8ka str. 165. Warszawa 1877. Kartonowane 1 złr.

— *Wiśniowski Sygurd.* Dzieci królowej Oceanii. 8ka str. 447. Warszawa 1878 2·50 ct.

— *Wojcicki K. Wł.* Lokaj dziadunia. Opowiadania z dziejów przeszłości dla młodocianego wieku z rycinami 8ka str 206. Warszawa 1878. W ozdobnej oprawie 3 złr.

— *Zacharjasiewicz.* Prawo bezprawia. Powieść 8ka str. 164. Warszawa 1877. 1·65 ct.

— *Złodziej pod maską miłości* Z Angielskiego. 8ka str. 16. Warszawa 1877. 10 ct.

— *Żuliński J. Dr.* Rachunek miarami i liczbami dziesiętnemi. Podręcznik metodyczny opracowany w moc uchwały VIII. walnego zjazdu Towarzystwa pedagogicznego 8ka str. 147. Lwów 1877 70 ct.

— *Zaleski J. B.* Duch od stepu 16ka str. 63. Lwów 1877. 40 ct.

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura, sztuka i nauka

— *Konkurs. Redakcya Biblioteki Warszawskiej* w zeszycie styczniowym swego pisma ogłasza następujący konkurs, natchniony najszlachetniejszą myślą i ze wszech miar godny pomyślnego uwieńczenia: Dzieje umysłowe narodu naszego przedstawiają ten fakt godny uwagi, że począwszy od wyraźniejszej fizyognomii piśmiennictwa, każde stulecie zdobywa się na wzory, kreśląc obowiązki człowieka i obywatela, zawsze z jednej prawdy moralnej wypływające, ale do pojęć, zadań i potrzeb epoki stosowane. I tak w wieku XVI Żywotem poczciwego człowieka Rej inauguruje etykę narodową. W wieku XVII Skarga, karcąc zboczenia od wielkich zasad w „kazaniach sejmowych," a więc w samej krytyce ujawniając swe postulata co do stron dodatnich, za przykład ziomkom stawia Żywoty świętych. W wieku XVIII mniej wzniosły, ale zawsze sympatyczny wzór podaje Krasicki w Podstolim oraz w Życiach zacnych mężów z Plutarcha. Wzory te uznane zostały przez społeczność i popularyzowały się pośród niej, dla tego, że nie były płodem fantazyi, formułą abstrakcyjną i arbitralną, ani echem żywiołów obcych, ale podsłuchane i troskliwie przez myślicieli utalentowanych zebrane ze zdań i pragnień zdrowej części narodu, stały się niejako jej wyrazem, treścią myśli i natchnień, uczuwanych przez wszystkich, ale przez nikogo niewypowiedzianych. Myśli te i natchnienia, stopione w jedność i uklasyfikowane przez jednostkę, wyrażającą w ten sposób sumienie ogółu, prawnie uchodzić mogły za drogowskaz dla pokoleń objętych sferą położenia i warunków społecznych, słowem za ideał wieku. Przy zmianie sfery tej, drogowskaz i przewodnik taki, nie przystając we wszystkich punktach do wyobrażeń i położeń, których w biegu historyi przewidzieć nie mógł, staje się z czasem niedostatecznym. Przychodzą nowe warunki, a z niemi nowe zapatrywania, nowe potrzeby i nowe obowiązki. Wiek XIX, choćby dla utrzymania tradycyi myślicielskiej, potrzebuje rozpatrzyć się w swych warunkach samodzielnie, podsłuchać na nowo, uchylić zasłonę z sumienia ogółu i postawić wzór nowy, ideał miejscowy wieku. Takie z pośród grona myślicieli i talentów krajowych pragnąc wywołać dzieło, łączność pewną z kilku powyżej wymienionemi stanowiące, Redakcya „Biblioteki Warsz." ogłasza w tym celu konkurs, którego premium przeznaczonem będzie za dzieło nie względnie najlepsze z pomiędzy nadesłanych, ale za takie, któreby tak myślą, jak i obrobieniem, stosownie do swego zadania i wieku, mogło stanąć bez zawstydzenia obok swych pierwowzorów. Pożądane jest, aby dzieło proponowane opierało się na podstawie dziejów głównie naszego narodu, oraz innych społeczeństw, i aby czerpane z historyi fakta i wnioski, jasno zasadniczą myśl konkursu uwydatniły. Dla bliższego objaśnienia dążności dzieła konkursowego dodajemy, że wyborem odpowiednich typów lub faktów z historyi ma kierować nietylko idea obowiązków obywatelskich w warunkach normalnego rozwoju i potęgi, ale także i zadań, które mogą i powinny być urzeczywistnione przez wszystkich członków społeczeństwa w każdem położeniu i okolicznościach życia: publicznego, prywatnego i stosunków rodzinnych. Słowem, praca konkursowa objąć powinna wykład obowiązków, potrzeb i zadań obywatela współczesnego w kraju naszym, ku czemu nauki i przykładów dostarczyć ma historya. Pierwszeństwo w przyznaniu nagrody, oprócz żywotności w treści, pełności w zjawiskach, powagi i spokojności w ujęciu przedmiotu, zależeć będzie od doskonałości formy zewnętrznej, rozumiejąc przez nią wdzięk, wytworność stylu, poprawność języka, czytelniczą dostępność itd. Nagroda konkursowa wynosi rs. 750. Termin złożenia prac oznacza się na dzień 1go maja 1879 r. Autorowie prace swe nadsyłać mają opatrzone godłem dowolnie obranem, które stać będzie i na kopercie zapieczętowanej, a zawierającej wewnątrz imię i nazwisko autora, ze wskazaniem miejsca pobytu. Rękopism nagrodzony pozostaje własnością autora, który obowiązany ogłosić go drukiem w ciągu roku po przyznaniu nagrody. Gdyby zaś tego nie uczynił, redakcya "Biblioteki Warszawskiej" wydać może dzieło uwieńczone na swoją korzyść.

## ROZMAITOŚCI.

### DISRAELI, HRABIA BEACONSFIELD.

Lat siedmdziesiąt jeden. Krzepka starość, zawdzięczona życiu spokojnemu, wolnemu od wrażeń i wypełnionemu prawie całkowicie studyami politycznemi i naukowemi.

Ani śladu powierzchownej dystynkcyi i ogłady. Twarz wyżółkła, poryta zmarszczkami, pokurczona. Niewielki a szpetny kosmyk włosów wyrastających pod brodą, czyni go podobnym do tych handlarzów tandety, którzy włóczą się po ulicach Londynu, z kapeluszem w każdej ręce.

Wiedząc od czego człowiek ten zaczął i zkąd wyszedł, trzeba przyznać, że wdarcie się jego na piedestał pierwszego ministra kraju, takiego jak Anglia, jest jedną z najśmielszych i najpiękniejszych *karyer,* o jakich kiedykolwiek ludzki ambitny umysł mógł zamarzyć.

Disraeli urodził się żydem, ale z chwilą gdy wiara ojców stawała mu się zawadą, pozbył się jej.

Był początkowo powieściopisarzem, człowiekiem pełnym gorącej fantazyi, z żywą i ognistą wyobraźnią — Balzakiem i Dumasem w połączeniu — a potem uczynił się poważnym i surowym politykiem, dyplomatą i administratorem pierwszej siły.

Gdy wchodził do parlamentu, nie był wcale mówcą i u publiczności nie posiadał najmniejszej sympatyi. Pierwsze jego pojawienie się na trybunie przyjęto śmiechem i drwinkami; wyrzekł on wówczas do niesfornych słuchaczów:

— Przysięgam wam, że niezadługo będziecie siedzieli cicho i słuchali z uwagą tego, co wam mówić będę.

I stało się, jak powiedział.

Chcąc Disraelego, jako ministra określić jednem słowem, możnaby rzec, iż jest *cynikiem,* w klasycznem znaczeniu tego terminu. Nazywając go tak, nie chcemy bynajmniej ubliżać mu: jest cynikiem, to znaczy, że nie bardzo trzyma się zasad i że w niewiele co wierzy. Hasłem jego polityki mogłoby być słowo: *business* — interesa i sprawy powszednie.

Na tym właśnie systemie opiera się cała potęga państwa angielskiego i dzięki jemu, unika ona wszelkich zawichrzeń, jakie wstrząsają naprzykład Francyą.

Disraeli mądry jest i przebiegły za czterech, a przymioty te ujawnia na każdym kroku i o każdej porze: na trybunie, w rozmowie, a nawet na zebraniach agronomicznych, gdzie chętnie rozprawia o zasiewach i chowie inwentarza, pomimo, że nie jest wcale rolnikiem.

Oratorski jego talent opiera się głównie na satyrze i retoryce trochę za zbyt gwałtownej. W każdej choćby najpoważniejszej okoliczności, umie on wtrącić żartobliwe słówko, rozweselające słuchaczów. Chętnie także goni za efektem, bodaj zdobytym dziwacznością. Znaną jest naprzykład jego mowa, nad mogiłą jakiejś znakomitości wygłoszona, w której nazwał karawan: „omnibusem śmierci".

Disraeli na powieściach swych robi dobre interesa. Za każdy utwór wydawca płaci mu przecięciowo 25000 franków, oprócz procentu od egzemplarzy sprzedanych.

Przybywa on codziennie do gmachu, w którym mieszczą się biura ministrów, ale w gmachu tym nie mieszka. Co wieczór, siada do wagonu kolei żelaznej i spieszy obiadować w kółku rodzinnem, w swej prześlicznej posiadłości Hughenden, gdzie królowa odwiedza go od czasu do czasu.

W gruncie rzeczy nie jest on wcale zwolennikiem wiejskich rozkoszy. Gdyby szedł jedynie za własnemi upodobaniami, mieszkałby chętnie w środku Londynu, w jakim bogatym pałacu, z którego okien byłoby widać Hyde-Park lub Kensingtońskie ogrody...

Ale siedziba wiejska w Hughenden służy mu za pozór do odgrywania pewnej zabawnej komedyi, na którą zresztą nikt złapać się nie daje. Chciałby on mianowicie wmówić w swych współobywateli, że jest zawołanym rolnikiem, jak prawie wszyscy wielcy mężowie angielscy: Palmerston, Peel i inni.

Gdy Disraeli przybędzie do Hughenden, przechadza się po polach i lasach, z rękami wetkniętemi w obszerne kieszenie aksamitnego czarnego surduta,

z którym się nigdy nie rozstaje, oraz w ogromnym pilśniowym kapeluszu z szerokiemi skrzydłami.

Przechadzając się tak, udaje, że go niezmiernie obchodzi stan zasiewów i urodzaj kartofli, wstępuje na folwarki, wdaje się z dzierżawcami w rozmowę, a pochwyciwszy od nich kilka zdań dotyczących gospodarstwa, popisuje się z niemi w kilka dni później na jakim rolniczym *meetingu*.

---

## DROBIAZGI HISTORYCZNE.

Prosper Merimée, powiedział kiedyś otwarcie: „Je n'aime de l'histoire que les anecdotes!", i dał naiwnie tem powiedzeniem wyraz narodowemu charakterowi francuskiemu. Żaden naród nie uprawia tak pilnie anegdoty jak Francuzi; ich miły talent opowiadania, ich zdolność dowcipnego zaostrzania frazesu zachęca ich nieraz do pełnych efektu poprawek. Nie przychodzi im na myśl wcale, że to są fałszerstwa historyczne. Potrafią oni też już dawno przedtem wypowiedziane słowa włożyć w usta osoby, której zupełnie odpowiadają w danej sytuacyi, i osoba ta zostaje w ten sposób obdarowaną na koszt tej, która poprzednio słowo to wypowiedziała. Krytyka takich słówek ulotnych i anegdot byłaby niezmiernie interesującą; szczególnie powieści historyczne wszystkich narodów przyczyniły się przez lekkomyślność, czy też przez żądzę wywołania efektu do rozszerzenia tych małych fałszerstw i błędów. Opinia publiczna jest w tych wypadkach podobną do owego sędziego, który już kilkakrotnie karanego złodzieja skazał znów bez namysłu i na prędce, i gdy się później dowiedział, że skazany był niewinny, rzekł z krwią zimną: „to mi wszystko jedno, jeżeli tego nie popełnił, to był zupełnie zdolnym do popełnienia!" W ten sposób przyczepiają się nieraz do historycznych osobistości słowa, nigdy przez nie niewypowiedziane, i rzadko zadaje kto sobie pracę zbadania krytycznego anegdoty.

I tak naprzykład Talleyrand nigdy nie mógł się uwolnić pomimo protestów od przypisywanego mu zdania, że „zamordowanie księcia Enghien jest jeszcze więcej niż zbrodnią, jest błędem". Może to dla tego, że wielu wierzyło w zdanie Carnota o tym dyplomacie: „Jeżeli Talleyrand gardzi ludźmi, to dla tego, że zanadto studyował swój własny charakter". Inne przypisywane mu zdanie: że „mowa jest na to dana ludziom, aby ukrywać myśli", jest rzeczywiście własnością Woltera. Włożenie tego zdania w usta księcia Perigord przypisać należy dwom autentycznym wypadkom. Raz podobno miał tym epigramatem odpowiedzieć pewnemu naiwnemu młodzieńcowi, który chciał poświęcić się dyplomacyi i zalecał siebie jako człowieka mówiącego zawsze to, co myśli. W drugim zaś wypadku miał się wyrazić o wielkich mężach stanu z Holland-Hause: „Mazarin oszukiwał zawsze a nigdy nie kłamał, a większość mężów stanu kłamie zawsze a nigdy nie oszukuje."

Jednak i sam Talleyrand był chrzestnym ojcem pewnego małego fałszerstwa. Hrabia d'Artois przyjmował w r. 1814 dygnitarzy państwa, i powiedział do nich coś nieznaczącego. Lecz Talleyrand życzył, żeby hrabia przy tej okazyi zrobił wrażenie i prosił wyraźnie Beugnota, ażeby ogłaszając tę mowę w „Monitorze" coś pięknego do niej dorobił. Skłopotany minister spraw wewnętrznych suszył nad tem głowę i wymyślił nareszcie dość długi dodatek zaczynający się od słów: „Rien n'est changé. Il n'y a q'un Français de plus....." Talleyrand postawił przy owem „plus" kropkę, przekreślił resztę, i stworzył tym sposobem ulotne słówko, które opierając się na powadze urzędowego organu prawdopodobnie aż do końca dziejów trzymać się będzie Karola X., pomimo, że hrabia d'Artois przy pierwszym rozgłosie dowcipu zdumiony zapewniał, że nie przypomina sobie, żeby te słowa wypowiedział. Przeciwnie, Ludwikowi Filipowi należy się oswobodzenie od złośliwego słówka, które mu ze względu na biskupa d'Autun przypisanem zostało. Talleyrand skarżył się na łożu śmiertelnem, że „doznaje mąk potępieńca", a Ludwik Filip miał na to zawołać: „już teraz?" Ludwik Blanc dodaje jeszcze w swojej „Histoire de Dix-ans", że umierający szybko się zemścił przez wydanie kompromitujących papierów państwowych; lecz najwybitniejsze osobistości zaprzeczyły temu wyznaniu, które też istotnie wcale się z charakterem tego „Roi bon homme" nie zgadza. De Levis przypisuje to wyrażenie pewnemu lekarzowi przy łożu śmiertelnem jakiegoś skąpca. Natomiast Ludwik Blanc obciąża Talleyranda innym frazesem, który miał być wypowiedziany na krótki czas przed rewolucyą czerwcową na balu dworskim, wydanym na cześć króla neapolitańskiego: „zabawa jest prawdziwie neapolitańską, tańczymy na wulkanie". Wyrażenie, do którego przyznaje się Salvandy.

Również i przywódzcom rewolucyi francuskiej i Napoleonowi przypisywano dowcipy w części tylko prawdziwe. Tak naprzykład wyrażenie przypisywane księdzu Siéyes, który miał wypowiedzieć przy ścięciu Ludwika XVI: „La mort sans phrase", jest tylko w połowie prawdziwą.

Większość głosujących usprawiedliwiała swój wyrok dodatkiem, „że dopuścił się zdrady względem ludu" i t. d. Siéyes jednak napisał po prostu tylko słowo: „la mort". „Monitor" zaś ażeby pokazać, że nic nie opuścił, dodał uwagę „sans phrase". Również ksiądz Edgeworth, który nieszczęśliwego króla na śmierć odprowadzał, zaprzeczył innemu ulotnemu słówku, które mu podsuwano: „Synu św. Ludwika wstępuj do nieba". Był on zanadto wzruszony w tej strasznej chwili, ażeby w ogóle z czemkolwiek się odzywać.

Zdanie: „Grattez ler Russe et vous trouverez les Cosaque", należy do księcia de Ligne, nie zaś do Napoleona I., zarówno jak i nazwa „Nation Boutiquiere", którem cesarz Anglików obdarzył, zostało już wypowiedziane przez Filipa Francis, który swych rodaków raz w gorącej rozprawie nazwał „nation of stock-jobbers". Wyrażenie: „należy prać swoje brudy w własnym domu", powtórzył Napoleon po Wolterze; przeciwnie definicya: czem jest tron? czterma kawałkami drzewa aksamitem pokrytemi", pochodzi rzeczywiście od niego zarówno jak i wróżba, że „za pięćdziesiąt lat Europa będzie kozacką albo republikańską". Inna przepowiednia wypowiedziana przezeń na wyspie Św. Heleny: „biada Europie jeśli rosyjski car brodę zapuści", jest cokolwiek ciemną. Pełną skromności, równającej się najwyższej dumie była odprawa, jaką dał Napoleon pewnemu podchlebcy: „Cóż ja właściwie uczyniłem? czyż to może wytrzymać choćby najlżejsze porównanie z tem, co uczynił Chrystus?" W tem orzeczeniu leży wskazówka, że tylko boskiej istocie dawał on przed sobą pierwszeństwo.

Naiwną jest metafizyka Nelsona, który kilkakrotnie powtarzał, że: „czuje ból w ręce którą utracił", co miało być przekonywującym dowodem o nieśmiertelności duszy i rozstrzygać stanowczo to ważne pytanie. Jeszcze naiwniejszem jest to, co hiszpańscy kronikarze opowiadają o pewnej królowej (której imienia nie podają), a która z powodu śmierci małżonka tak się zirytowała na niebo, że rozkazała swemu ludowi nie wierzyć w Boga przez pół roku, „aby mu dać dobrą lekcyą". Autentyczniejszem jest powiedzenie króla angielskiego Wilhelma Rudego: „jeśli mam obowiązki względem Boga, to i Bóg ma obowiązki względem mnie." Skromna poprawka opatrzności i jednocześnie instynktowe poznanie prawdy naukowej zawiera się w powiedzeniu króla kastylskiego Alfonsa El-Sabio, który zrobiwszy mapę astronomiczną według ówczesnych pojęć z ziemią pośrodku, zauważył że: „gdyby go spytano o radę, zrobiłby słońce punktem środkowym."

Zdanie przypisywane legatom papieskim w czasie rzezi Albigensów: „Tuez tous, Dieu reconnaitra les siens", pochodzi jak tego dowiedziono z rzezi w noc Św. Bartłomieja, lecz nieznaną jest osoba, która je wypowiedziała. Z czasów wojny Krymskiej datują dwa słowa ulotne: C'est magnifique, mais ce n'est pas la guerre" i Mac-Mahona, „j'y suis, j'y reste". Powiedzenie: „l'ordre régne à Varsovie", wypowiedzianem było przez jenerała Sebastiani w zgromadzeniu a nie przez cara Mikołaja, któremu je przypisują. Jego porównanie Turcyi z chorym człowiekiem było już przedtem wypowiedziane przez ambasadora Jakóba II. w Konstantynopolu, Sira Tomasza Roé, który pisał do Anglii: „Turcya podobną jest do ciała starca, które zatrute występkami ma jeszcze pozór zdrowia, chociaż jest bliskim swego końca."

Kto pierwszy puścił w obieg zdanie: „Finis Poloniae", przypisywane Kościuszce, nie jest dotąd dowiedzionem. Bohater Polski protestował uroczyście w liście do hr. Ségure i odrzucał to zdanie stanowczo tak co do formy jako też i treści, lecz inne słynne powiedzenie: „le roi règne et ne gouverne pas", przypisywane pewnemu współpracownikowi „Journal des Débats", jest w samej rzeczy pochodzenia polskiego. Półtrzecia wieku temu zanim jeszcze to zdanie mogło się ukazać we francuskim dzienniku, wypowiedziane było na sejmie polskim przez Jana Zamojskiego, który rzekł: „Rex regnat sed non gubernat". Wiele heroicznych słów, które są w obiegu, różne dotyczące osoby odwoływały potem; i tak naprzykład Ducrot protestował przeciw wyrażeniu „Wrócę albo umarłym albo zwycięzcą". Słynny frazes Nelsona przy Trafalgarze: „Anglia spodziewa się, że każdy spełni swój obowiązek", było potem zakwestyonowane; bohater morski zamiast „Anglia" miał podobno napisać „Nelson" i dopiero jego adjutant zamienił słowo pełne arogancyi na patryotyczne. Naiwna próżność Nelsona, która się lubowała w najgłupszych pochlebstwach, była powodem tego dowcipu. W ogóle złośliwość ludzka wysila się na wkładanie tego rodzaju dowcipów w usta sławnych ludzi. Według podania, Frydryk II. pruski miał powiedzieć „Kobiety są jak kotlety, im więcej się je bije, tem są delikatniejsze." Rzadko kiedy anegdota historyczna jest dowodem tak wspaniałomyślnego uznania ze strony jednego wielkiego człowieka dla drugiego jak ta, która opiewa, że lord Bolingbroke, gdy ktoś w towarzystwie zażądał odeń świadectwa, że polityczny jego wróg książe Marlborough bardzo jest skąpy, odpowiedział: „Był on tak wielkim człowiekiem, że zapomniałem o jego wadach!" Marlborough jednak był rzeczywiście nadzwyczaj skąpym, jak o tem między innemi świadczy następująca anegdota: lord Peterborough spotkał pewnego razu żebraka, który prosząc go o jałmużnę nazwał go: „Mylord Marlborough". „Ja nie jestem lordem Marlborough, na dowód czego daję ci gwineę!"

Francuz może sobie wiele rzeczy odmówić, ale nie konceptu. Tak naprzykład nawet łagodny Malherbes, odpowiedział żebrakowi, który mu obiecywał, że za jałmużnę usilnie modlić się będzie o jego pomyślność: „nie trudź się, mój przyjacielu; sądząc po twoim stanie, musisz mieć nie wielki kredyt w niebie". Większość francuskich anegdot ma zwykle w sobie wiele złośliwości, jak naprzykład owa, która była kolportowaną w republikańskim i orleańskim obozie z zupełną wiarą, „aby przedstawić świetny umysł Beryera w najjaśniejszem świetle". „Jego zdolność obejmywania wszystkiego, opanowywania i jasnego przedstawiania jest tak wielką, że w głębi swego młodego serca, jest równie dobrze przekonany o zbawienności legitymizmu, i dogmatach kościoła, jak o błogich skutkach konstytucyi republikańskiej i ateizmu. Aby się raz decydować na jeden lub drugi kierunek, rzucił w górę pieniądz z postanowieniem, że jeżeli będzie portret na wierzchu, to ma oznaczać: „za kościół i króla", jeśli zaś wypadnie druga strona to „poświęcić swe życie nieśmiertelnym zasadom z r. 1789." Pieniądz upadł portretem do góry.

Na zakończenie jeszcze jedno zdanie Thiersa, które w ostatnich czasach było przytaczane, chociaż w pierwszej tylko połowie; „rzeczpospolita jest formą rządu, która nas (Royalistów) najmniej a ich (republikanów) najwięcej rozdziela. Monarchiści wszelkiego rodzaju łączą się przeciw Rzeczypospolitej, gdy tymczasem skoro ona istnieje, republikanie kłócą się między sobą".

---

### Treść Nr. 22.



---

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.